BIBLJOTEKA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO TOM 70

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

MOCNY CZŁOWIEK

VI

CZĘŚĆ TRZECIA

ŚWIĘTY GAJ

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

Druk J. Rajskiego. Warszawa, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

XII.

Nazajutrz już od samego rana siedział Bielecki w redakcji „Romowe“.

Kazał sobie przynieść książki rachunkowe i zasiadł razem z buchalterem do ciężkiej pracy.

Jeszcze pocieszał się, że stan finansowy „Romowe“ nie jest tak rozpaczliwy: może uda mu się wydać jeszcze parę numerów — koniec kwartału już niedaleko — pościąga zaległości, nowi prenumeratorzy nadpłyną, tem więcej, że miał w swojej tece cięte i sensacyjne artykuły. Rozpoczął energiczną kampanję przeciw haniebnej gospodarce w teatrze, niedołężności dyrekcji, niemożliwemu wystawianiu dramatu, brakowi odrobiny talentu reżyseryjnego: jednem słowem miażdżył cały obecny teatr i to z taką fachową znajomością rzeczy, z takiem gruntownem znawstwem zagranicznych teatrów, a przytem z takiemi pozytywnemi i przekonywającemi radami reformy, że nawet wątpić nie potrzebował, iż uda mu się obecną dyrekcję zwalić, a on sam wszechwładnie nad teatrem zapanuje. A wtedy stanie się potęgą.

Z niesłychaną werwą, nadzwyczajną pomysłowością i istotnie twórczą reżyseryjną zdolnością analizował ostatnio w teatrze grany dramat Ibsena, a który w tej inscenizacji, w jakiej go wystawiono, wypadł fatalnie.

Więc krok za krokiem wykazywał, jak trzeba to było zrobić: wykreślił dla dramatu szeroką perspektywę, rzucił nowe a nieoczekiwane światło — wyłowił z całości to, co autor zaledwie podkreślił, a w czem tkwiło źródło nieprzeczuwanych blasków, w których się wszelkie ciemnie rozjaśniały.

Kierował każdym ruchem aktora, uczył go mówić, umiał wyczuć w duszy każdego poszczególnego aktora struny w jego talencie, których tenże może nigdy nie byłby odkrył, a które teraz pod Bieleckiego mistrzowską ręką rozdźwiękły pełnemi akordami wielkiej i tragicznej grozy.

Sam kulisy uczył malować — wykazywał, jak małemi środkami można wywołać tysiąc razy większe wrażenie, aniżeli przeładowaniem sceny — rozpisał się szeroko o łączności akcji z mise-en-scène, sam był i reżyserem i inspicjentem — aktora zepchnął na drugi plan, a sam stał się jako reżyser genjalny: duszą teatru.

Na tej rozprawie, napisanej istotnie twórczo i z wielkim rozmachem, a której początek, drukowany w ostatnim numerze, wywarł wprost sensacyjne wrażenie, pokładał Bielecki ogromne nadzieje i pewność zwycięstwa.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa władza miejska powoła go na dyrektora, a dotychczasowy dyrektor, p. Turło, czuł to niewątpliwie, jeżeli chciał mu ręce związać i gorąco zapraszał go na dramaturga.

O nie! panie Turło, byliśmy zawsze dobrymi przyjaciółmi, ale ja się muszę ratować... Tyś zrobił majątek na teatrze — teraz: Ote-toi que je m'y mette!

Inaczej w życiu człowiek sobie nie da rady.

I w dalszym ciągu sprawdzał w ciężkiej pracy razem z buchalterem smutnawy bilans finansowy pisma.

Plusy były przerażająco małe, a minusy gromadziły się w kwadracie, w miarę dalszych obliczeń i sprawdzań.

— Mnie musiano haniebnie okradać — powiedział wreszcie Bielecki zrozpaczony.

— Ja nie! — powiedział mały człeczek o smutnym i strapionym wyrazie twarzy. — Do ksiąg wciągałem tylko te pozycje, które mi administrator wciągać kazał.

— Więc Koczor?!

— Brać mu za złe nie można, bo utrzymanie całego haremu dużo kosztuje — powiedział buchalter w głębokiem przeświadczeniu — przytem pan Hedera — podkreślił to...

— Oho! Pan chce przez to powiedzieć, że nie mnie okradano, tylko Hederę? — przerwał Bielecki szorstko.

— Ja nic nie chciałem powiedzieć, wiem tylko, że pan Hedera dał panu Koczorowi „carte blanche“ w sprawach administracyjnych... By mieć jak najrychlej pretekst do wycofania swego kapitału i deskę nad przepaścią z pod moich nóg usunąć, domyślił do końca Bielecki.

— Więc cóż teraz? — zapytał.

— A nic! musimy interes zlikwidować — niema wyjścia; choćby nam nawet dwustu prenumeratorów nadpłynęło, to nie będziemy w stanie kosztów dwóch numerów opłacić, nie mówiąc już o pensjach dla personelu... Wobec tego muszę podać się do dymisji, bym miał czas innego miejsca sobie poszukać...

— Pan ten miesiąc jeszcze pozostanie — powiedział Bielecki stanowczo — jeżeli pismo będzie

musiało likwidować, to z własnej kieszeni pana opłacę.

Buchalter spojrzał na niego chwilę nieufnie — ale tylko przez sekundę. Ujrzał w twarzy Bieleckiego tyle stanowczości i taką pewność tego, co mówi, że odrazu się zgodził.

— Ja znajdę wyjście — powiedział, — a pan jest w całym składzie redakcyjno-administracyjnym jedynym uczciwym człowiekiem.

Chwilę po wyjściu buchaltera, jeszcze w niezamkniętych za nim drzwiach, ukazała się panna Regina.

Zawrzał gniewem, ale opanował się; przybrał odświętnie uprzejmą minę i włożył ręce do kieszeni.

— A! a! panna Regina! Cóż tak rychło panią tu sprowadza? By zasiąść do stołu redakcyjnego? Już przeze mnie zajęty!

Regina przystanęła — nie wiedziała czy to żarty, czy kpiny?

— Co to ma znaczyć? zapytała.

— Nic więcej nad to, że pani tu niepotrzebna.

Regina rozśmiała się złośliwie swojemi obrzydliwemi ustami od ucha do ucha.

— Aha! rozumiem — twoja milutka paniusia poskarżyła się tobie, że się jej parę słów prawdy powiedziało. Jeżeli ty jesteś na tyle tchórzem, że boisz się jej ukazać, w jakiem świetle ją ludzie obecnie widzą i jak na nią patrzą — to ktoś inny musi to zrobić, bo inaczej będzie chodzić omackiem.

— A gdyby się tak wynieść — syknął Bielecki — i podszedł ku niej — ale to zaraz — czem prędzej!

— Patrzcie, patrzcie! — zaśmiała się zjadliwie Regina, a złe jej oczy stanęły zezem — co

się to zrobiło z tym wesołym, miłym Heniem! Ktoby to był pomyślał, by jedno słówko małej Ninki starczyło, aby Henio wyrzucał za drzwi dawną i wierną przyjaciółkę...

W drzwiach przystanęła.

— Jeszcze gorzko tego pożałujesz — rzuciła przy odejściu i trzasnęła drzwiami.

Teraz mamy jednego wroga więcej, pomyślał Bielecki i uśmiechnął się pogardliwie.

I jakgdyby nic nie zaszło, obsunął się głęboko w fotel i jął myśleć nad sposobami urzeczywistnienia swoich gorączkowych snów o potędze — nie tej na papierze, lub w lulkowym dymie zaklętej, ale tej istotnej, która ludzi na kolana rzuca i zgina ich karki w jarzmo niewolniczej pokory.

Jeżeli otrzymasz dyrekcję teatru, a o tem już nie wątpił, to wtedy i „Romowe" uratowane.

Jego rozprawa była tak ogromnej doniosłości, tak musiała oczy wszystkich na niego zwrócić, że on jedyny mógł tylko wchodzić w rachubę, on jedyny był tym oswobodzicielem teatru w tej strasznej miernocie, która się za czasów Turły rozpanoszyła i on jeden wskazał drogę nietylko sanacji, ale taką, która rodzimą sztukę do najwyższego rozkwitu doprowadzićby mogła i doprowadzić musi.

Ba! gdyby odezwał się tylko z niszczącą krytyką, prostą i tanią negacją, ale jasność programu, łatwość jego przeprowadzenia, to „samo przez się się rozumie", gdy mu tylko teatr powierzony zostanie, wysunęłoby go na pierwszy plan bez wszelkiej konkurencji.

Nagle odbył się w jego myślach ogromny przeskok: Gwont! Ale ten przeskok Bieleckiego,

który sobie samemu nigdy nie kłamał, wcale nie zdziwił!

Zdawał sobie dokładnie sprawę, że cały jego program przez Gwonta stworzony został, a on go tylko ujął w formę, zrealizował: uzewnętrznił głębokie i oryginalne pomysły Gwonta.

Gwont był autorem, a on tylko aktorem, wykonawcą Gwonta myśli — czuł, że mu się twarz wykrzywia bolesnym grymasem — zaśmiał się szyderczo — ale na pocieszenie możesz sobie powiedzieć, że być wielkim aktorem-wykonawcą też nie łatwo.

No więc też: Rhodos przeskoczone!

Dlaczego Hedera go ostrzegał przed Gwontem? Hi, hi, Hedera jest prostym, ordynarnym bydlakiem — Hedera przeczuł, przewąchał, czem jest dla mnie Gwont — no i razem z kapitałem chciał mi i Gwonta wycofać...

Zaśmiał się z tego prostackiego manewru Hedery, a jednak uczuł, że w głębi nurtowało jakieś podejrzenie, którego żadną miarą pozbyć się nie mógł.

Czyżby Gwont?...

Nie! niemożliwe! ale Bielecki nie wiedział już, co mogłoby być niemożliwem prócz tej jedynej możliwości, że w żaden sposób nie znajdzie pieniędzy, by móc podtrzymać „Romowe“ i złożyć kaucję potrzebną, by objąć teatr.

Z niebieskawym dymem jego papierosa ulatywały jego sny o potędze, a rozwiały się doszczętnie, gdy służący zameldował mecenasa p. Trajdowskiego.

Aha! to ten sam, pomyślał Bielecki, któremu św. p. Kotowicz — Bóg niech świeci nad jego duszą — jednej chwili spokoju nie dawał.

— Prosić!

Z wytwornemi ruchami, godnemi „comis voyageura“ pierwszorzędnej firmy, powitał mecenas Bieleckiego.

— Mistrz sobie przypomina?

— Ale któżby mógł zapomnieć pańskie ciągłe zatargi z Kotowiczem? proszę, niech pan siada.

Jakaś zabawna myśl przeleciała przez mózg Bieleckiego:

Można spróbować — kto wie?

Mecenas chwilę milczał — a potem wybałuszył oczy na Bieleckiego, jakby go chciał nastraszyć.

— Trudno mi zrzucić ciężar z serca, który mnie już od paru miesięcy przygniata, a w ostatnim czasie nawet mi spać nie daje, ale trudno: postanowiłem i już się nie cofam.

To znaczy „mam, ale nie dam!“ pomyślał Bielecki i przypomniał mu się wieczór, gdy rozradowaną, triumfujacą Łusię wprowadził po konkursowych zwycięstwach Górskiego do kawiarni Schütta.

Umilkli i czekali, kto pierwszy rozmowę nawiąże.

— Jak panu wiadomo — powiedział wreszcie mecenas — przez całe pół roku dawałem ogłoszenia moich fabryk automobilów i aeroplanów do pańskiego, przeze mnie wysoce cenionego pisma, i za całostronicowe ogłoszenie płaciłem kwartalnie trzysta rubli.

— Tak! to się zgadza — w naszym budżecie odgrywało to nawet pewną rolę.

— Otóż... jakkolwiek mi bardzo przykro, to panu powiedzieć, muszę wyznać, iż postanowiłem, tę subwencję poniekąd, którą obywatelskie poczu-

cie obowiązku kazało mi Jego pismu dawać, teraz, po ustąpieniu pana Hedery, z „Romowe“ wycofać.

— A to dlaczego?

— Przykro mi powiedzieć, iż wiem z kompetentnego źródła, że „Romowe“ lada chwila ruina grozi, a pan będzie musiał pismo zlikwidować.

— W takim razie pańskie kompetentne źródło jest doszczętnie zawiścią, a przedewszystkiem konkurencyjną zazdrością zatrute. Pismo jest doskonale ugruntowane, bytem jego nie zdołał nawet pan Hedera wycofaniem swego kapitału zachwiać, bo, jak panu wiadomo, rozporządzam własnym, odziedziczonym po babce.

Bielecki wpadł w gorączkowy ferwor.

— Przeciwnie, pismo prosperuje doskonale, nagwałt domaga się rozszerzenia, dołączenia osobnego i to obszernego działu muzycznego, teatralnego, a jeżeli narazie tego swojego planu urzeczywistnić nie może, to jedynie dlatego, że gotówka jego jest chwilowo uwięziona w hipotekach, które już na pierwszego stycznia Hedera wypowiedział!

Bielecki w dyskretnych barwach malował przed oczyma mecenasa obraz niezmiernych korzyści finansowych, jakieby mu „Romowe“ przyniosło, gdyby zechciał przystąpić z nim razem do spółki, wywołał przed nim ponętną wizję rozgłosu w całem społeczeństwie, gdy się to dowie, jakie on, mecenas, zasługi ponosi w rozwoju rodzimego piśmiennictwa, a że o tem bardzo szybko się dowie, to już leży w naturze rzeczy, bo na każdym numerze będzie jego nazwisko figurować, a przytem nie zabraknie wzmianek, kto w głównej mierze przyczynił się do wzrostu i rozkwitu pisma

i przebąkiwał o tem, że teraz, kiedy kontrakt pana Turły się kończy, on prawdopodobnie teatr obejmie, bo ma wszystkie po temu dane — otworzył daleką perspektywę, a raczej bardzo bliską, w której się łatwo nadzwyczajne rzeczy dokonać dadzą: w „Romowe" zespoli się całe życie umysłowe Polski, a całokształt tego życia będzie można cudzoziemcom pokazać w „Romowe", wydawanem po francusku w Paryżu — ale napróżno!

Bielecki mistrzowską ręką, w gorączkowem podnieceniu grał na wszystkich strunach duszy mecenasa: chciwości, pragnienia zysku, chełpliwości, żądzy rozgłosu — ale mecenas był niewzruszony. Wszystko napróżno!

Bielecki czuł, że mecenas mu nie dowierza, że sam się upokarza dalszą z nim rozmową, ale już było mu to wszystko jedno — mówił dalej z ogromną swadą, która go nawet samego zdumiewała — tylko teraz z większą rozwagą, tak od niechcenia, jakby mu na tem nic nie zależało, bo w każdej chwili może wspólnika znaleźć, chodzi mu jedynie o to, by stosunki wspólnej redakcji mogły się przyjaźnie ukształtować, a przedewszystkiem w zgodnem porozumieniu, co przy wysokiej inteligencji i wykształceniu mecenasa samo przez się się rozumie.

— Zresztą — wtrącił — mecenas mógłby objąć dział artystyczny, bo jak jemu — Bieleckiemu wiadomo — posiada piękną galerję obrazów, a to jest publiczną tajemnicą, że głos jego w komisji artystycznej jest decydujący.

— Ten moralny faktor — mówił Bielecki, całkiem już opanowany — że pan będzie mógł najaw wydobyć ukryte, świeże, a mocne talenty młodych malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, takowe do nowego życia wskrzesić w „Romowe" — rzeczy

niesłusznie zapomniane, albo też niedocenione, jak np. rysunki Norwida — a kto wie jakie arcydzieła nieocenionej wprost wartości Orłowskiego, dajmy na to, gniją w ukryciu? Otóż ten faktor chyba przy pańskiem poczuciu obowiązku obywatelskiego więcej znaczy, aniżeli nowy wkład w pańskie tak czy tak, z piorunującą szybkością rozwijające się fabryki.

— Obowiązek obywatelski — obowiązkiem — obowiązki wobec rodzimego piśmiennictwa i sztuki — również obowiązkiem — rozgłos, sława, mecenasostwo, poważanie ludzkie — też nie przeczę, że jest obowiązkiem wobec siebie i osobistej godności — ale swoją drogą:

— Interes — interesem! — wybuchnął Bielecki.

— Trafił pan w samo sedno... Trzebaby książki przejrzeć, dokładnie w bilansie się rozejrzeć, a tam rozstrzyga jedynie debet lub credit.

Pofałszuję książki, dziś je jeszcze wszystkie sfałszuję, bylebyś, psiakrew, dał pieniądze! pomyślał z wściekłością Bielecki.

— Książki rachunkowe w każdej chwili stoją do dyspozycji pańskiej.

— Bezwarunkowo, o tem nie wątpię — ale tu wchodzi jeden i to najważniejszy czynnik w grę — mecenas mówił to z pewnem zakłopotanem wahaniem.

— Jaki?

— Widzi pan, to jest rzecz nieuchwytna, to cyframi wyrazić się nie da, a ja tylko w cyfry wierzę — nie przeczę, że i rozgłos i sława mnie nęcą, ale tylko, o ile cyframi te kategorje wyrazić się dadzą.

— Niech się pan jaśniej wyraża — przerwał Bielecki zniecierpliwiony: drżał wewnętrznie coraz silniej.

— Ma pan słuszność — w interesach powinna zapanować jasność i bezwzględna szczerość. Więc aczkolwiek mi niesłychanie trudno panu całą prawdę powiedzieć, to jednak muszę wyjawić, iż powaga pańskiego nazwiska jest fatalnie podkopana.

Mecenas wstał z smutną i stroskaną powagą człowieka, który głęboko boleje nad smutnym losem swego bliźniego.

— I to tak fatalnie, że zarówno i pan będzie potrzebował dużo czasu, by je znowu w dawniejszym blasku ukazać, jak i ja, zanim się rozmyślę, czy do spółki przystąpić, czy też nie.

Bielecki wstał i uśmiechnął się pogardliwie, ale czuł, że już ostatnich sił zużywa, by nie wybuchnąć:

— A więc żegnam pana. Ani pan na utrwalenie mojej podkopanej pozycji, ani też ja na pańskie kapitały czekać nie potrzebuję.

Podszedł ku niemu, jakby go wyprowadzić chciał.

— A jednak radzę panu w jego własnym interesie, by zechciał przeczytać dzisiejszy artykuł w nowym numerze: „Ex oriente lux!“.

— Aha! już wiem — przyrzekam panu, że go nie omieszkam przeczytać.

Bielecki tak delikatnie nacierał na mecenasa, że ten dopiero w drzwiach miał czas powiedzieć:

— A więc anons mój w „Romowe“ wycofuję!

— Wiem już, wiem.

Po wyjściu mecenasa zamknął się Bielecki na klucz, padł na fotel, a z jego piersi wydobył się głuchy jęk.

Uczucie sromotnego upokorzenia jęło się zmagać w wściekłych zapasach z jego miłością.

Raz po raz zwyciężało, to znowu się poddawać musiało: obydwa te uczucia nacierały na siebie, skłębiły się w żelaznych uściskach, rzucały na siebie w zajadłem rozjuszeniu.

Przestał myśleć; był niejako wichrem walki, jaka się w nim odbywała.

Widzisz, widzisz! gnębił miłość upokarzający wstyd: do czegoś go doprowadziła?! przed błaznem, któremu taki Kotowicz w pysk pluł, on się dziś upokarzać musiał — całą swoją rozpaczną siłę zużył, by wkońcu usłyszeć, że powaga jego nazwiska jest fatalnie podkopana — możeby się jeszcze więcej był ukorzył, możeby jeszcze godzinami całemi na mecenasa nacierał, możeby wkońcu nietylko artystyczne, ale i literackie kierownictwo mu powierzył, byleby tylko mógł zdobyć pieniądze! Ha, ha, ha! on, który potrzebowałby tylko jeden palec pani Tańskiej podać: on się dziś kajał przed mecenasem!

Miłość pragnęła też argumentować, ale dwugłowa hydra wstydu i upokorzenia nie pozwalała jej przyjść do głosu:

Co za haniebny egoizm, kazać się człowiekowi w ten sposób męczyć! On, który dawniej był Cezarem, co żelazną, zwycięską stopą kroczył po trupach, poprzez święte zbrodnie do jasnego celu, on dziś pozwala się znieważać mecenasom — patrz miłości — patrz! coś z niego zrobiła! Przez ciebie dostał się w matnię, bo jak zbrodniarz pobrzękuje kajdanami, z których go nic nie rozkuje prócz dawniejszej mocy!

Ha, ha! Dusisz się, dławisz? Na pohybel tobie!

Ale w tej chwili dźwignęła się miłość, schwyciła żelaznemi rękoma dwugłową hydrę za kark i jęła dusić.

Silniejszą jestem od ciebie, triumfowała miłość — czepić się możesz pokornego, przez swego pana bitego psa, ale nie tego, który w mojem imieniu nowy świat w sobie odbudował, wszelkie łańcuchy pozrywał, na których uwięzi tyś go trzymała i do głupich, małych zbrodni zmuszała — któraś kazała mu trząść się z lęku przed nieistniejącym Uherą, paktować z Kotowiczami, palić obrazy wielkiego artysty — ty nędzna, podła hydro, ty śmiesz urągać mojej świetlistej mocy?! Giń!

Miłość zamierzyła się do śmiertelnego ciosu, gdy nagle plugawej hydrze przebiegł w pomoc rycerz, cały w zbroję okuty, groźny i srogi, ale z sercem tchórzliwem i podstępnem. Pochwycił miłość znienacka, ściągnął ją z dwugłowej hydry i teraz wzmożonemi siłami poczęli ją dławić.

Duś, duś! — krzyczał srogi rycerz lęku i trwogi — inaczej zginie on i przepadnie! ratunku już dla niego niema innego. Niech ginie, bo go opętała, tuk mocy z jego kości wyssała, z zwycięskiej drogi go strąciła, tak że już teraz w przepaść leci i na samo dno się stoczy, jeżeli go w sam czas nie powstrzymamy.

Już nic nie widział, słyszał tylko w sobie zaciekłą kłótnię, triumfalne okrzyki, znowu głuchy rozhowor rozjuszonych zapasów między dwiema mocami.

Coraz zaciętsza walka się w nim odbywała, coraz dzikszą fanfarą witały triumfalne okrzyki zwycięstwo to jednej, to drugiej strony, aż wresz-

cie przerażony tem, co się w nim działo, zerwał się na równe nogi.

Chwilę trwało, zaczem całkiem oprzytomniał.

Przeraził się swoim stanem.

Czuł dokładnie, że przestał żyć własnem życiem, że żyje życiem dwóch, trzech, dziesięciu ludzi, z których jeden drugiemu jest wrogiem, nienawistnym katem i pogromcą.

I z przerażeniem ujrzał w spoistym granicie swego bytu żyłki obcego kamienia, który mu tę zwartą, twardą bryłę kruszył i rozsadzał: to miłość!

Dla innego mogłaby być królewską mocą i siłą, któraby światy z posad ruszyć mogła: dla niego gniewem, rozterką i niemocą.

Od kilku minut słyszał pukanie do drzwi, ale teraz dopiero zdecydował się na to, by je otworzyć.

Tak był zatumaniony, że dopiero po chwili rozpoznał Koczora.

— Czego chcesz? — zapytał szorstko.

— No, no — co ci jest? — pytał Koczor zdziwiony — może tu masz gdzie jaką flaszkę, bo całkiem wyglądasz, jakbyś co dopiero otrzeźwiał. Posądzałem cię nawet o jakąś kobietkę, bo drzwi były na klucz zamknięte.

Bielecki wpatrzył się w niego chytrą, podstępną złością.

— Swoją drogą dobrze, żeś przyszedł — mam z tobą małe porachunki.

— Jakie? — pytał Koczor naiwnie.

— Tyś w bezczelny sposób okradał administrację „Romowe“.

Koczor spojrzał na niego zdumiony.

— Oczywiście! A jakbym mógł inaczej żyć? Jeszcze, gdybym był sam, ale ja jestem poniekąd kosmicznym samcem i moje samiczki miałyby z głodu zdechnąć, dlatego, że jakieś tam „Romowe“ w pierze porastać miało? Ha! ha! — śmiał się cynicznie — żeby to jeszcze były twoje pieniądze, ale to były pieniądze naszego nieocenionego dobroczyńcy Hedery, który „vivre i laisser vivre“ pozwala — jakie ty możesz mieć do mnie pretensje?!

Bielecki zrozumiał, że istotnie nie mógł mieć do kogoś, który innego okrada, pretensji. Całkiem zbyteczne moralne oburzenie.

— Więc czego chcesz?

— Ostrzec cię chciałem, braciszku: ta twoja pani — ho, ho... warta grzechu, ale niebezpieczna — gdybyś ty ją był wczoraj widział, jak tu wpadła do redakcji i ciebie szukała — miej się na ostrożności — ale swoją drogą — Koczor cmoknął językiem — powinszować ci takiego nabytku — co za ramiona, co za szyja — a buzia jaka! oho, ho! bycza niewiastka!

Ledwo zdążył to wymówić, Bielecki gruchnął go z całą siłą w piersi, że Koczor wywrócił się jak długi — zerwał się, rzucił z całą wściekłością na Bieleckiego, ale Bielecki — Koczor uczuł jego niezwykłą siłę — schwycił go za szyję, pchnął na drzwi: Koczor odnalazł się dopiero w pokoju administracyjnym, leżący w znak u stóp buchaltera, który z zimnym spokojem skonstatował, że w „Romowe” niezwykłe rzeczy się dzieją.

Koczor zebrał się i wybiegł z pianą na ustach z redakcji.

Teraz oczyściłem Święty Gaj, pomyślał Bielecki — czas, żeby siebie samego z niego wy-

rzucić — pomyślał, z wstrętu pełnem obrzydzeniem, dławiącą wściekłością.

Siadł przy biurku, począł czytać jakiś manuskrypt, rzucił do kosza, przechadzał się, nie myślał już o niczem — służący przyniósł mu ostatnią popołudniową pocztę.

Między listami był jeden, który odłożył na sam koniec, wytworny, pachnący — wiedział już od kogo pochodzi.

Z natężoną uwagą, która się bezustannie rozpraszała, przeczytał wszystkie listy, systematycznie je poukładał — a wreszcie wziął ten ostatni do ręki.

Rozerwał kopertę.

„Drogi mistrzu, czytał. Jestem cokolwiek zaziębiona, więc nie mogę Go osobiście poprosić, a zatem, tą drogą przypominam, by zechciał mnie dziś pod wieczór odwiedzić“. *T.*

Bielecki poszarpał w drobne kawałeczki wonny liścik i cisnął z wstrętem do kosza, ubrał się, dał jeszcze parę zleceń i wyszedł na ulicę.

Naprzeciw redakcji „Romowe“ zastanowił go dziwaczny plakat, przylepiony na murze przeciwległej kamienicy.

Bielecki podszedł zaciekawiony.

Plakat przedstawiał ogromne słońce w zaćmieniu. Czarna tarcza, z pod której wybuchały wulkaniczne protuberancje, w wszystkich barwach tęczy: spectrum od koloru ultra-fioletowego do ultra-purpurowego.

Na czarnej tarczy czytał ogłoszenie, drukowane czerwonemi głoskami: „Ukazał się pierwszy numer pisma, przeznaczonego dla rozwoju i pielęgnowania kultury duszy i jej ukrytych sił:

„Ex oriente lux!“

W długiej kolumnie wyszczególniona była treść tego pierwszego numeru, a na samym jej końcu tłustym drukiem:

„Sensacyjne rewelacje, czyli odsłonięcie zasłony w Sais, osiągnięte zapomocą nadzwyczajnego medjum na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa Badań Psychologicznych w Londynie“

Aha! to o mnie! pomyślał Bielecki — to ten artykuł, o którym mecenas wspominał.

W czterech rogach plakatu były wyszczególnione kawiarnie, w których to pismo było wyłożone.

Co za sprytna bestja ten Okaima — reklamą swego pisma zareklamował równocześnie i kawiarnie, które mu pewnie grubo za to zapłaciły — tak, że nietylko na czysto wyszedł, koszta reklamy własnej opłacił, ale pewno mu jeszcze się coś zostało.

Tak, trzeba się wziąć do rzeczy, panie Bielecki — zamyślił się — to wtedy nie byłoby potrzeby szukać pieniędzy.

A! a! i kawiarnia Schütta! i to tłustym drukiem — prawdopodobnie jego uwagę chciano na nią zwrócić.

Przyjdę, przyjdę, ale nie teraz, bo teraz pusta, przyjdę, gdy będziecie wszyscy tam zgromadzeni, byście nie mogli triumfować, że Bielecki tchórzy, że nie jest w stanie tych sensacyjnych rewelacyj pod kontrolą waszych, złośliwą wściekłością dyszących ślepi, przeczytać.

Punkt o piątej popołudniu, gdy już wszyscy będziecie zebrani, marna hołoto, gdy już wszyscy zdołają przeczytać te rewelacje, które „podkopały“ powagę mego nazwiska — podziwiał się, do jakiego stopnia panował nad sobą, nie rozumiał, że tego obmierzłego mecenasa nie trzepnął w pysk —

wtedy dopiero ja zażądam ostentacyjnie, by wszyscy mogli moje wrażenia dokładnie obserwować, ono słońce w zaćmieniu.

I w niezrozumiałem przygnębieniu, które go nagle opadło, zaczął medytować, za co on właściwie chciał mecenasa w pysk trzepnąć?

Aha! nie za to, że mu powiedział prawdę, którą on, Bielecki, dawno znał, ale za to, że się przed nim upokorzył — tym bałwanem, w którego wygoloną mordę taki Kotowicz pluł.

Jak marnie jednakowoż w rzeczywistości jego akcje stać muszą, jeżeli taki mecenas, który do niedawna jeszcze się przed nim płaszczył i za najwyższy zaszczyt sobie uważał, gdy mógł się w kawiarni do jego stolika przysiąść, teraz z wyniosłym gestem się do niego zwraca!

Ta myśl rozjaśniła mu zagadkę jego „niezrozumiałego“ przygnębienia.

Być, albo nie być, that is the question!

Uśmiechnął się cicho.

Jeżeli ci więc na tem zależy, by „być“, by odrazu dźwignąć się na dawniejszy piedestał, nowym blaskiem powagę swego nazwiska opromienić, akcje swoje na „al pari“ postawić, zrobić to, by się twoje sny o potędze urzeczywistniły, to musisz czem prędzej odbyć triumfalny wjazd do Hierusz-Halaim...

Drgnął:

Hierusz-Halaim Zatracenia!

Innej rady niema. A pani Tańska dziś wieczorem już niezawodnie niczego ci nie odmówi...

Wolnym, znużonym, od dusznej rozterki i mózgowego przemęczenia krokiem, wlókł się Bielecki do domu, gdzie go Nina oczekiwała.

Na tę myśl wyprężył się, przybrał twarz w pogodę i otuchę i pewnością zuchowatą minę, kupił po drodze kwiatów dla Niny — wybrał te, które najwięcej lubiła — szedł sprężyście, uśmiechnięty, młody i butny.

Bo już nie potrzebował myśleć, coś poza nim rzuciło kości.

XIII.

Gdy Bielecki pod wieczór zaszedł do kawiarni Schütta, zrobiło się w niej nagle cicho.

Wszystkich oczy się na niego zwróciły, przymrużone, ciekawe, chytre i złośliwe, a były i takie, które świętem oburzeniem dyszały i takie, które już go wprost piorunowały.

Bielecki spokojny, obojętny, prawie wyniosły przeszedł obok stolika, przy którym siedział Okaima z Reginą i całym sztabem redakcyjnym „Ex Oriente“, spojrzał na nich swobodnie, jak gdyby ich nigdy nie był znał, i siadł, jak człowiek, który się czuje, coprawda w obcem, ale również całkiem obojętnem otoczeniu — opodal.

Naprzeciw wisiał znany mu już afisz z onem zaćmieniem słońca.

Skinął na kelnera, kazał sobie podać kawę i karafkę koniaku i jakby pierwszy raz ujrzał ten dziwaczny afisz, zapytał kelnera:

— A to co?

— Ja nie miałem czasu nad tem się zastanawiać, wiem tylko, że wszyscy tu w kawiarni całe popołudnie tylko o tem mówią — tam się coś wielmożnego pana musi tyczyć, bo często słyszę Jego nazwisko.

Bielecki poprosił, by mu ten numer przyniósł i rozsiadł się niedbale na kanapce. Obejrzał się wokoło.

Regina opowiadała coś z wielką werwą, chichotała złośliwie i zezowała ku niemu, Okaima wyrażał gestami zdumienie, które go widocznie wielką satysfakcją przepełniało, Koczor wściekłemi ślepiami zdawał się prześwidrowywać Bieleckiego.

Bielecki czuł, że o nim mowa, maluczko, a będą go sobie palcami wskazywać.

Kelner przyniósł kawę i koniak:

— Egzorenta zajęta!

Bielecki roześmiał się wesoło na cały głos:

— Jakeś to powiedział?

Kelner zmieszał się:

— Egzorenta zajęta! Wielmożny panie — ten pan tam czyta.

— Masz pół rubla za dobry dowcip — śmiał się Bielecki i spojrzał w stronę pana, który czytał „Egzorentę".

Ów pan, komedjopisarz starej daty, o którym Bielecki w pierwszym rozdziale swej rozprawy o „Reformie teatru" pogardliwie się wyrażał, aż cmokał językiem z głębokiego wewnętrznego zadowolenia.

Tam znowu siedział dawny jego kolega, megaloman i grafoman zarazem, którego niedawno jeszcze Bielecki tak schłostał, że suchej nitki na nim nie zostawił — widocznie też czytał Egzorentę, bo uśmiechał się ironicznie i z całą bezczelnością wlepiał w niego swoje okrągłe, wole oczy — ówdzie ujrzał widocznie jakiegoś dawnego swego wielbiciela, bo tenże patrzył na niego, jakby z ciężkim żalem i wyrzutem zawodu — obok przy stoliku długowłosych malarzy i z nieprawdopodobną

nonszalancją ukostjumowanych malarek, dyskutowano bardzo żywo — widocznie o Borsuku — bo Bieleckiego dolatywało często gęsto to nazwisko — a i o Kotowiczu była mowa...

Ale Bielecki patrzył na nich tak obojętnie, z tak absolutnem przeświadczeniem, iż wszystkich tych ludzi jeszcze nigdy nie widział, że widocznie poczęto się irytować.

Rozmowy toczyły się już prawie podniesionym głosem, widocznie w tym celu, by Bielecki mógł wszystko słyszeć; dyskusje się roznamiętniały, ale Bielecki nie zadawał sobie trudu, by chcieć coś posłyszeć: siedział obojętny, z znudzoną miną, pił kawę, popijał koniakiem i ziewnął:

To wszysto Uhera! pomyślał.

Taki był już naprawdę znudzony tem wszystkiem, że całkiem mu było obojętnem, co ci ludzie myślą, lub mówią — w krzyżowym ogniu nienawistnych, złośliwych, zgorszonych, wzgardliwych tych spojrzeń, czuł się tak bezpiecznym, jak dziecko, które nad przepaścią kwiatek zrywa, lub pijak, który według słów litanji do Szatana Baudelaire'a wpadnie pod końskie kopyta, a nic mu się nie stanie. Nawet się modlić nie potrzebował:

„Ayez pitié de ma longue misére“!

Tak dalece nie była niebezpieczną ta horda, by się aż do pomocy Szatana zwracać musiał.

Wytężona i skupiona na niego uwaga była mu nawet poniekąd przyjemną, nerwy jego podniecał hazard wygrywania ostatnich atutów — a w sobie uczuł nagle dziwny ogromny spokój.

Wziął do ręki zeszyt „Egzorenty“, teraz już niezajętej, który mu kelner podał, przeczytał najpierw wstęp, w którym Okaima czytelnikom tłumaczył podniosłym, patetycznym, ciemno i laurowo zawiłym stylem, dlaczego swoją „Egzorentę“ —

czemu nie Don-Quichotowską szkapę „Rosinantę“? — musiał od „Romowe“ oderwać i całkiem uniezależnić.

Na początkowo całkiem zbieżne cele poczęły działać obce wpływy — tu Okaima-Trąbczyński tak wyraźnie wskazywał na Gwonta, że każdy w tej chwili mógł się domyśleć, kogo Okaima miał na myśli — poza tem tendencje pisma, które jedynie najwyższą kulturę duszy ludzkiej rozwijać pragnęło, nie licowało z tendencją „Romowe“, w którem to piśmie rozpanoszył się snobizm, pogarda dla etycznych ideałów, pyszałkostwo, nieuctwo, a nawet — co z ciężkim bólem trzeba było skonstatować: niekoniecznie „fair“ postępowanie wobec najzasłużeńszych mężów społeczeństwa.

Znowu ucichło w kawiarni — wszystkich oczy były na niego zwrócone — świdrowano go, przeszywano spojrzeniami — Bielecki czuł te spojrzenia na całym sobie — i uśmiechał się, jakby był jakąś głupią anegdotę przeczytał.

Potem przeczytał strasznie chaotyczny, pogmatwany artykuł o filozofji Vedanta — z zawiłych, nieskończonych okresów niczego dorozumieć się nie było można — następnie przerzucił historyczny szkic o Szymonie-magu, który gdzieś już w niemieckiem czasopiśmie czytał.

Napięcie w kawiarni rosło do tego stopnia, że wyraźnie czuł zaparty oddech.

Bielecki przerzucił parę jeszcze kartek i dotarł do onych sensacyjnych rewelacyj.

Był na wszystko przygotowany, więc czytał cały artykuł z widocznem zajęciem, raz po raz się uśmiechał, czytał go, jak smakosz, który ostrygę połyka i szampanem popija — czytał go, jakby rozkoszował się prawdziwem „havanna“, lub przypatrywał się bajecznym choreograficznym popisom baletu rosyjskiego.

A im dłużej czytał, tem więcej rozjaśniała się jego twarz istotną artystyczną rozkoszą, a nawet podziwem, a gdy wreszcie zakończył czytanie, twarz jego wyrażała wprost entuzjastyczny zachwyt.

Miny sztabu redakcyjnego „Rosinanty“ zrzedły — nastąpiło ogólne rozczarowanie — widowisko oczekiwane zawiodło, a gdyby się było płaciło wstęp, by ujrzeć Bieleckiego zmiażdżonym i w śmiertelnej trwodze, toby się teraz wszystko cisnęło hurmem do kasy, by żądać zwrotu pieniędzy.

Cały ten długi artykuł był jednym genialnym, niesłychanie jadowitym paszkwilem na Bieleckiego, a w rzeczy samej nietylko paszkwilem, bo dużo w tem było przytoczonych faktów, których istnieniu nie byłby mógł tak łatwo zaprzeczyć — szkoda tylko, że ordynarna, prostacka głupota Okaimy dała temu arcydziełu sui generis, któregoby się nawet Aretino nie powstydził, tak głupi, jarmarczny nagłówek.

Cała rzecz była pisana w rodzaju nowelki Edgara Poe: „Zdumiewające działanie mesmeryzmu“, lub też „Rozmowa z Mumją“, przeplatane filozoficznemi poglądami z „Monos i Una“, a w tym konglomeracie, złożonym z paszkwilu, z zaciekłego pamfletu, prawdy, kłamstwa, przypuszczeń, prawdopodobieństw, ujrzał Bielecki jak najwyraźniej pod bezczelnie przejrzystemi obsłonkami całe swoje curriculum. Nazwiska były angielskie — rzecz działa się nie w Londynie, jak Okaima, który widocznie niedokładnie cały ten paszkwil czytał, podawał, tylko w Singapore, ale to Singapore było tak nawskroś polskie i swojskie, że żaden tubylec w nim pobłądzić nie mógł.

Wszystko tam było: Łusia, która krzyczała podczas pijackiej uczty na cześć Górskiego: „Re-

quiescat in pace" — jej tragiczna śmierć — triumf Bieleckiego w angielskim teatrze przed zdumionymi Hindusami, którzy dla niego osobną pagodę wystawili na jego cześć — tajemniczy pożar w atelier wielkiego artysty Kudady, tak opisanego, że kto tylko raz Borsuka widział, lub słyszał, musiał wiedzieć, że to on — „Romowe" nazywało się tybetańską Lassah, w której tronował zdziecinniały, niemocny Dalai-Lama, który bełkocze to, co mu Egerja nieboszczyka Pompiljusza, międzyświatowym wichrem tu przygnana, do uszu wykrzykuje — zbyt jasna aluzja do Gwonta — wszystko to z życia Bieleckiego było przedstawione w groteskowem świetle — nawet scena w teatrze, gdy woźni p. Turły wyrzucali z galerli Kotowicza i jego kompanjonów za to, że się w nazwiskach autorów pomylili.

A już koroną wszystkiego, jaką Bielecki swe dotychczasowe bohatersko-fantastyczne życie uwieńczył, było to, że syt dotychczasowych ofiar, chytrym podstępem wcisnął się w zaufanie jakiegoś naiwnego Tebańczyka, żonę od niego oderwał, opętał ją i do siebie zniewolił, a samego Tebańczyka rzucił do stóp Circe — primadonny, która go tak oczarowała, że niezadługo szmat polskiej ziemi na jej fantazje i kosztowne zachcianki zaprzepaszczony zostanie.

Tu nastąpił ustęp liryczno-patetyczny, bo właściwie to tylko Bielecki winien temu, że zacny obywatel przemienił się w kreaturę Circe.

A to wszystko w formie interwiew'u z mumją, wskrzeszającą mocą niesmacznych manipulacyj osoby, już nie żyjące, filozoficzne manipulacje na temat: jeżeli jakiś człowiek ciągnie szlachetne zwierzę na rzeź — kto ciągnie? człowiek czy powróz?

I znowu pod aż nadto przejrzystą gazą, by nagość więcej jeszcze nagą pokazać, wyłonił się

Poraj — szlachetne zwierzę — Ada — powróz — i on: Bielecki — człowiek. Rozczulający był nakoniec dytyramb na cześć szlachetnego zwierzęcia, które dlatego ginąć musiało, że stanęło w obronie człowieka, któryby niechybnie był zginął pod kłami wściekłego odyńca, gdyby to zwierzę nie było temu odyńcowi swojemi rogami brzucha rozpruło.

Z najwyższem, promieniejącem, prawie estetycznem zadowoleniem odłożył Bielecki zeszyt.

A im silniej i boleśniej krzyczało w nim Uhera! tem swobodniejszą minę przybierał.

Uśmiechał się raz po raz, jak gdyby wspomnienie co dopiero ukończonej lektury szczególną przyjemność było mu sprawiło — raz po raz zajrzał jeszcze do zeszytu, by sobie niektóre, pod względem artystycznym niezwykle udane ustępy w pamięci utrwalić, popijał kawę, palił papierosa i rozglądał się wokoło, jak człowiek, który bywał wprawdzie kiedyś w tej kawiarni, ale ponieważ ją odnowiono, więc go każdy nowy szczegół interesował.

A pod maską estetycznego zadowolenia, obojętnej ciekawości, z jaką patrzył na odnowioną kawiarnię i całkiem obcych mu ludzi, szalał w nim Tajfun podzwrotnikowej burzy, a równocześnie tytaniczna zaciekłość człowieka, który w tej nierównej walce zwyciężyć postanowił, wszystko jedno, co się potem z nim stanie: legnie z ran, czy też nie — wszystko jedno: byleby legł zwycięzcą!

Bywalców kawiarni Schütta znudziło obserwowanie wrażeń, jakie na Bieleckim artykuł „Egzorenty“ wywarł, bo przeciwnie wydawał się być bardzo zadowolonym i każdy powracał do swej gazety, szachów lub kart.

Bielecki, teraz już spokojny i w błogiem usposobieniu, jakby trawił smaczny obiad, mógł rozmyślać.

Ten artykuł napisał Gajecki — w każdem słowie, każdem zdaniu, barokowem nagromadzeniu rzeczy najdziwaczniejszych, w groteskowem zestawieniu Wschodu i Zachodu, równanie ryby z pasternakiem, a raka z pietruszką, widział Gajeckiego.

I jak na zawołanie zjawił się w kawiarni Gajecki.

Wejście Gajeckiego wywołało nową i nadzwyczajną, nerwy łechcącą sensację.

Jedynie tylko wysokiej kulturze towarzyskiej, miała publiczność, zgromadzona w kawiarni do zawdzięczenia, że nie ulega pierwszemu impulsowi, by stanąć na krzesełkach i stołach i rozkoszować się sceną między Bieleckim a Gajeckim — wszyscy przecież wiedzieli, że ten paszkwil Gajecki napisał, a nikt nie wątpił, że Bielecki już w pierwszych słowach Gajeckiego wyczuł.

Gajecki ujrzał w tej chwili Bieleckiego, zmieszał się, stropił — a i Bielecki, zdziwiony nagłem milczeniem, skierował oczy w tę stronę.

Wstał od stolika i przyjaźnie kiwnął na niego ręką.

Gajecki szedł ku niemu, kłaniał się na wszystkie strony, szczególniej głęboko, jak się Bieleckiemu zdawało, w stronę Okaimy i Reginy i przysiadł się do stolika Bieleckiego. Uścisnęli sobie serdecznie ręce.

Jedna część publiczności była rozgoryczona, że nie przyszło do mordobicia, druga obżałowywała Bieleckiego, że jest na tyle naiwny i prostoduszny, iż w tej chwili nie poznał pióra Gajeckiego: jednem słowem spektakl fatalnie się nie udał.

A ponieważ już teraz żadnych niespodzianek oczekiwać nie było można, więc już nie zwracano na obydwóch najmniejszej uwagi — i to z silną indygnacją.

W sztabie generalnym „Rosinanty“ — ten termin na określenie „Ex oriente lux“ ostatecznie się w mózgu Bieleckiego ustalił — spadła rtęć w termometrze wojennego zapału na zero — zrobiło się chłodno, i mglista nuda poczęła ziać z próżnych kieliszków.

Bielecki skinał na kelnera i kazał mu podać flaszkę ciężkiego, burgundzkiego wina: Chambertin.

Gajecki był cokolwiek zaniepokojony niezwykłą uprzejmością Bieleckiego.

Cóż to mogło znaczyć? Jakaś zasadzka?

A ponieważ dziś się dowiedział o wcale niemiłem zajściu Koczora z Bieleckim, więc tak się usadowił, by w danym wypadku uniknąć niemiłych aplikacyj.

— Przedewszystkiem winszuję ci artykułu, który jest wprost genjalnie napisany — Bielecki mówił to tak, jakby jakąś wesołą anegdotę opowiadał.

Gajeckiego ciarki przeszły.

— Jakiego artykułu? Co za artykułu?

Kelner postawił flaszkę Chambertina na stole i dwa kieliszki.

— To coś o mnie napisał w „Oriencie“.

— Kto? ja? — Gajecki zerwał się oburzony.

— Siedź tylko spokojnie i nie rób z siebie nad-świni. Otóż ten artykuł jest napisany z taką bajeczną werwą, z takim niesłychanym rozmachem i tak bestjalną złośliwością, że muszę cię głęboko o przebaczenie prosić, iż dotychczas twego genjuszu w tym kierunku nie odkryłem, a zdolności twoje w całkiem fałszywym sensie w „Romowe“ zużywałem.

Mówił to tak słodkim i ujmującym głosem, że Gajeckiemu stanął w tej chwili przed oczyma

Koczor, wywalony na wznak, według plastycznego opisu buchaltera i obmacujący się, czy jego krzyże w porządku.

Bielecki z nadzwyczajną uprzejmością nalewał wina do ogromnych kieliszków.

— Duszkiem! — powiedział — teraz wiem, kim jesteś; ja zawiniłem, żem się na twoim genjuszu nie poznał, ty zaś, że światło twoje pod korzec wsawiłeś i za trzydzieści srebrników wyranżerowanej szkapie Trąby-Czyńskiego się zaprzedałeś.

Wychylili duszkiem puchary.

— Więc słuchaj — Bielecki śmiał się, jakby niezmiernie śmieszną rzecz opowiadał — jeżeli mi w dwóch dniach dostarczysz artykułu dziesięćkroć razy spotęgowanego przeciw „Oriente", Okaimie, Reginie i tutti quanti, dostaniesz trzysta rubli na stół — jeżeli odszczekasz to wszystko, coś w tym artykule o mnie napisał, ale to tak skutecznie i tak przekonywająco, że ten „Orient" poprostu zmiażdżysz — zniweczysz — nie będę się lumpował — dodam ci jeszcze pięćdziesiąt rubli — a jeżeli tak zdołasz się urządzić, że „Oriente" całkiem uniemożliwisz — to zarobisz w przeciągu paru dni pięćset rubli.

Gajecki łypnął ślepiami — odrazu połapał się w roli, jaką mu wyznaczył Bielecki.

Aż publiczność obejrzała się na nich, nie wiedząc, co więcej podziwiać: bezczelność Gajeckiego, czy też zupełnie niepojętą głupotę Bieleckiego.

— Ażebyś nie myślał, że obiecanki — cacanki, a głupiemu radość — mówił Bielecki z słoneczną powagą, dam ci przy wyjściu sto rubli zaliczki — teraz na nas patrzą, więc napijmy się z wylaną wprost serdecznością, jakbyśmy się od paru

lat nie widzieli i teraz dopiero w najlepszej komitywie spotkali.

— Więc „Romowe“ zdołałeś uratować? — pytał Gajecki, jakby o zdrowie Bieleckiego się dowiadywał.

— Nietylko uratować, ale tak postawić, że będziemy mogli zmonopolizować wszystko, co się w Polsce pisze.

Gajecki wytrzeszczył oczy, ale w tej chwili przypomniał sobie wyznaczoną rolę, klasnął rękami o kolana i roześmiał się serdecznie.

— A mogę być pewien, że przyrzeczenia dotrzymasz?

— Ja dotrzymam, ale jeżeli ty tego nie zrobisz, co ci powiedziałem, za co ci grubo zapłacę, to pamiętaj — Bielecki spojrzał na niego tak niesłychanie czule i z taką głęboką przyjaźnią, że Gajeckiego mróz przeszedł...

Gajecki zrozumiał.

— W końcu tego tygodnia wyjdzie zeszyt „Romowe“, pojutrze muszę mieć twój artykuł. Poza tem jedno ci jeszcze powiem: dam ci takie stanowisko w „Romowe“, jeżeli mnie wyrąbiesz z tej zasadzki, w jaką mnie wpakowałeś — świnio piekielna, łotrze i szubrawcze — na jakie musiałbyś w innych warunkach pięćdziesiąt lat czekać.

Gajecki śmiał się dobrodusznie, bo rozmowa poczęła przybierać charakter swojskiego humoru.

— Nie jestem desperatem — mówił Bielecki z szczerą przyjaźnią — ale jeżeli jednem słowem piśniesz do kogośkolwiek o naszym układzie, jeżeli się czemśkolwiek zdradzisz — to kulą w łeb, to ci przysięgam na miłość do kobiety, której nazwisko wobec ciebie szubrawcze, wyjawić, byłoby niechlujstwem.

Spojrzenie Bieleckiego było w tej chwili mimo całej gorącej serdeczności tak groźne i tak stanowcze, że Gajeckiego, mimo również przyjaznych uczuć, mrowie przeszło.

— Zgoda? — zapytał Bielecki z uśmiechem, przejmującym do szpiku kości.

— Zgoda! — powiedział Gajecki i mimowoli zadrżał.

Znowu duszkiem wychylili kieliszki.

— Teraz pójdę — wsunął nieznacznie Gajeckiemu sturublówkę do ręki — o! zdaje się, że pierwszy śnieg spadł... resztę to już sam wypij — ja mam ważny interes do załatwienia.

Bielecki zapłacił, pożegnał się bardzo czule z Gajeckim i wyszedł z kawiarni — ale tym razem nie zwracano na niego żadnej uwagi, bo widocznie ta cała historja w „Oriencie" była tylko głupią farsą, a może nawet zgóry umówioną, by dla „Oriente" i dla „Romowe" łapać naiwnych prenumeratorów.

Teraz już się nie wahał, już teraz wyrzucił z mózgu wszystko, coby się jego niezłomnemu, żelaznemu postanowieniu sprzeciwiać mogło. — Odsunął cicho i łagodnie swoją, ponad wszelką miarę ukochaną Ninę — starał się nawet o niej zapomnieć: jedna tylko myśl rozwielmożniła się w jego mózgu:

Jeżeli już legnąć muszę, to legnę jako zwycięzca!

Śnieg padał — ale on lubił śnieg: tak rozkosznie, przyjemnie zasnuwał mu cały świat przed nim białemi płatkami, które w dziwnie symetrycznych, geometrycznie dających się wykreślić linjach z niebios się ścieliły.

Szedł w ciężkiem zamyśleniu i ani mu przez głowę nie przeszło, że go ktoś mógł śledzić — wtulił głowę w kołnierz futra i nie wiedział o tem, że w ślad zanim szła Regina.

Pocóż mu teraz myśleć, wahać się, rozważać?

Puścił maszynę w ruch, a raczej nie on — tylko sama przez się zmuszona wyższemi, ponad wszelkie ludzkie siły wybiegającemi, okolicznościami, sama siebie w ruch wprowadziła, a śmiesznem usiłowaniemby było chcieć ją teraz powstrzymać.

Teraz już przepadło!

Wszystko jedno! Jeżeli już legnąć, powtarzał manjacko, to już jako zwycięzca, jak Nelson pod Trafalgarem — tak, jakby mógł nawet Napoleon pod Waterloo polec — ale św. Helena: nie! za żadną cenę: nie!

Nieugięta, twarda moc, dzikie jakieś „à rebours“ zapanowało wszechwładnie w jego duszy.

O! miałeś rację, więcej jeszcze ponadto, kochany mecenasie, wspaniały rzeczniku całego społeczeństwa, że urok mego nazwiska gaśnie, że już dół dla mnie wykopany, że chwilę jeszcze, a sromotnie pogrzeban zostanę... Ha — ha — ha! Niedoczekanie wasze!

Jeżeli się pogrzebię, to sam własnemi rękoma, ale wam nie pozwolę, byście mieli wielką satysfakcję być moimi grabarzami — co najwyżej rozdzielę między was role — rakarzów.

— Grabarzów — rakarzów — to świetny rym: dziwne, że od niejakiego czasu myśli jego doskonale się rymowały. A były i takie, które na wszystkie cztery nogi chromały:

Ex Oriente! Exorenta — Rosinanta!

I takie, jak Hedera — Uhera!

Majaczył... Śnieg padał coraz gęstszemi płatami — przed oczyma jego biel — przeczysta biel — doskonale licowała z żałobną czernią w jego duszy.

Wszystkie jej okna pozasłaniał czarnemi kotarami i — co? co? pytał siebie z natrętną uporczywością.

Nie wiedział, ale coś w nim wiedzieć musiało, bo inaczejby się nie było przedostało przez żywopłoty jego świadomości.

Zresztą cały ten szereg niezszeregowanych myśli był zupełnym absurdem, bo jeżeli jest szereg, to nie może być niezszeregowany, to jest fatalny błąd logiczny: contradictio in adjecto, ale i takie rzeczy się zdarzają.

Fichte twierdzi, że ja jestem ja, a nie-ja jest oczywiście nie „ja" — ale to głupstwo: zachodzą wypadki, że ja jestem „nie-ja" i naodwrót.

A w moim wypadku, teraz, kiedy kroczę, zwycięstwem przeświadczonym krokiem, do pałacyku pani Tańskiej — Ja nie jestem sobą — tylko całkiem kimś innym.

Przed paru dniami rozszczepiłem się na starego i młodego Bieleckiego, dziś zaszedł analogiczny wypadek:

Jestem sobą i nie-sobą!

Piekielne to rozdwojenie!

Być równocześnie ja — i nie-ja — być sobą i nie-sobą, o! to już ponad siły ludzkie.

Więc nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przestać być sobą, przestać być swojem własnem ja i stać się kimś innym:

Doskonałe wyjście!

Teraz już nie potrzebuję rozdzielać się na starego i nowego Bieleckiego — moje ja, to znaczy: Bieleckiego pozostawię za drzwiami rozkosznego pałacyku pani Tańskiej, a ten, który jego podwoje przekroczy, będzie ten nie-ja: nazwijmy go Uherą!

Wszystko, co nie jest mną, będę odtąd nazywał symbolicznem mianem: Uhera! Dobrze się na-

wet złożyło, że istnieje dźwiękowe powinowactwo między nazwiskiem Hedery, realnie i istotnie żyjącego pana, a symbolem wszelakiego robactwa, które mnie oblazło i dokuczliwie mnie trapi: mianem Uhery.

To tu! — z jaką sprawnością i nieomylną pewnością nogi mnie tu poniosły — tak! to tu!

Miał wrażenie, że jest trochę zamroczony, ale tem lepiej — to nawet poniekąd jest okolicznością bardzo sprzyjającą i dla Uhery nawet niezwykle dogodną.

Bielecki wcale w rachubę nie wchodził — on tu pozostanie za żelaznemi płotkami, a wyśle tamtego — całkiem mu obcego pana — na czułe zaproszenie pani Tańskiej.

Regina stała opodal i szczękotała zębami z zimna, cała ośnieżona, czekała tylko zaczajona, co się dalej stanie.

Po długim namyśle zadzwonił Bielecki: drzwi ogrodu natychmiast się otworzyły — Bielecki przeszedł pewnym krokiem aleję, prowadzącą do pałacyku — w drzwiach oczekiwał go już lokaj, zdjął z niego futro, poprowadził do salonu, do którego w tej chwili wbiegła pani Tańska.

— Jak można było mi tak długo kazać czekać! — mówiła nawpół z przymileniem, nawpół z miną rozkapryszonego dzieciaka.

Bielecki całował przeciągle jej rękę.

— Niech pani wybaczy, ale tyle spraw było do załatwienia, a teraz nadszedł gorący czas dla „Romowe".

— Jaki pan niedobry, żeby choć na chwilę, przez całe trzy dni, nie zajrzeć do mnie — a ja — wcale się z tem nie taję — czekałam z takiem upragnieniem odwiedzin mistrza... urwała, jakby się zlękła, że za dużo powiedziała.

— Pani nie ma wyobrażenia, jak się uradowałem pani bilecikiem, ale już musi pani wybaczyć, że prędzej z redakcji wyrwać się nie mogłem: tyle różnorodnych i niekoniecznie miłych interesów... roześmiał się nagle z jakąś bezczelną, ulicznikowską prostotą.

— Bo trzeba pani wiedzieć, że w tym Świętym Gaju jakiś święty Wojciech najwspanialsze dęby pościnał, a to moje ukochane „Romowe" robi już bokami, gdybv krowa, która po burzy mokrej koniczyny się najadła i wskutek tego się wzdęła.

— „Romowe" bokami robi?! — pani Tańska się zaśmiewała, ale przecież nic łatwiejszego, jak je na nogi postawić, o ile jest świętą krową asyryjską, a, o ile jest świętym gajem pogańskim, pozasadzać nowe, tysiąckroć razy silniejsze dębczaki na miejsce starych i pewno już mocno spróchniałych, a przez owego świętego Wojciecha w fanatycznym, a nieszkodliwym szale wyciętych...

Bielecki spojrzał na nią wyczekująco:

I ona patrzyła na niego badawczo:

— Mistrz coś przybladł — pewno interesa bardzo kiepsko stoją? — pytała dziwnie uśmiechnięta.

— Więcej niż kiepsko — rozpaczliwie wprost — powiedział Bielecki z umyślną prostaczą szczerością.

Ogarnęli się oczyma — a dotyk ich oczu był czemś cielesnem i nagiem.

Pani Tańska przymrużyła oczy, przysunęła się nieznacznie ku niemu...

— Panu bardzo zależy na podtrzymaniu „Romowe"?

— Więcej, aniżelibym mógł powiedzieć.

— A ile panu potrzeba?

— Czterdzieści tysięcy rubli!

— Tylko?

Bielecki przez chwilę milczał, że to „tylko“ znaczyło kpiny ze strony pani Tańskiej — przygotowywał się na drwiącą odpowiedź, na coś, czemby odrazu mógł panią Tańską zaszachować, wprost jej powiedzieć, że przyszedł do niej w dobrym humorze i uciął z punktu blagę, bo „Romowe“ nigdy nie stało na silniejszym fundamencie, jak teraz, gdy on cały spadek po swej babce w „Romowe“ włożył, a nagle uczuł na sobie ciężkie, parne spojrzenie pani Tańskiej.

— Pan patrzy na mnie pytająco? Ja powiedziałam to na serjo — na sprawach wydawniczych się nie znam i sądziłam, że wydawanie takiego pisma większego wkładu wymaga.

Bielecki się roześmiał.

— Wątpię, czy jakieś pismo polskie takim kapitałem rozporządza. Okaima rozpoczął swoje wydawnictwo co najwyżej stoma rublami.

— Jaki Okaima?

Bielecki odetchnął: a więc nie czytała dzisiejszej „Ex oriente“.

— Taki sobie Don Kiszot, który wsiadł na sturublową szkapę i teraz przeciw wiatrakom wojuje.

Pani Tańska nie śmiała się z mdłego zresztą dowcipu, a Bielecki pomyślał, że było go stać na lepszy — bo widocznie była inną myślą pochłonięta.

— Ja panu coś powiem... a raczej zrobię panu jedną propozycję — niech pan mi da tylko przyrzeczenie, że pan ani mnie nie wyśmieje, ani się nie obrazi...

— Święcie to pani przyrzekam.

— Pan mi mówił, że ja mam istotny talent, więcej nawet: pan mi powiedział, że rodzaj pańskiego talentu jest z moim spokrewniony...

— Tak! to mówiłem i po powtórnem czytaniu pani utworów z większym jeszcze naciskiem to powtarzam.

Tańska spojrzała na niego rozpromieniona i wniebowzięta.

— Więc ja panu powiem: mąż mój nie wtrąca się w moje interesa...

— Ryby łapie i drzewo rąbie, jeżeli nie śpiewa — zaśmiał się poufale Bielecki.

— Czasami gorsze jeszcze rzeczy, ale ponieważ mnie to nic nie obchodzi, więc o tem się nie mówi. Ale wracajmy do rzeczy: ja rozporządzam dochodami dużego, własnego majątku — znudziły mnie już zabawy, bale, rauty i przyjęcia; podróże i bady zagraniczne całkiem mnie już nie bawią; postanowiłam więc zająć się czemś, co mi rzeczywistą da satysfakcję, czekałam tylko wyroku pańskiego — a pan jest dla mnie wyrocznią i jestem szczęśliwa, żem wreszcie znalazła cel — coś, czem zabójczą nudę mego życia usunąć zdołam.

Teraz Bielecki słuchał z takiem naprężeniem, że czuł, jak mu przez twarz nerwowe drgawki przelatywały.

— Zwykle trudno mi coś postanowić, ale w tym wypadku ani chwili się nie namyślam. Te czterdzieści tysięcy rubli, o których pan mówił, są każdej chwili do pańskiej dyspozycji, pod tym jednakowoż warunkiem, że pan mi da choćby skromniutki udział w pracy redakcyjnej.

Spojrzała na niego, jakby zawstydzona śmiałością swojej propozycji.

Bielecki długo się namyślał — widmo niebezpieczeństwa ośmieszenia się, gdyby nazwisko pani Tańskiej widniało na każdym numerze „Romowe“ obok jego nazwiska: niemożliwe: byłoby to wprost kompromitujące i dawało pole do naj-

dziwaczniejszych domysłów, a może stałoby się przewodnią gwiazdą do zbadania prawdy!

O nie! na to zgodzić się nie może, choćby nawet kosztem tego skarbu — tych czterdziestu tysięcy.

— Ja pani coś innego zaproponuję — Bielecki ujął ją delikatnie za rękę:

— Powtarzać pani nie potrzebuję, co o jej talencie myślę — mnie to sprawi prawdziwą satysfakcję, jeżeli pani zezwoli, iż do jej tomiku poezji napiszę wstęp: ja kocham młode talenty, a jeżeli jakiśkolwiek zasłużył w pełnej mierze, bym go całemu społeczeństwu w jego sile i mocy i kalejdoskopijnej różnorodności pokazał i z całym naciskiem uwagę nań zwrócił, to właśnie wybitny talent pani.

Tak — nazwisko pani figurowałoby na okładce „Romowe" jedynie tylko, jako współwydawczyni, a więc takiej pani, która daje pieniądze i nic poza tem — a, jak tylko tomik poezyj pani wyjdzie z moją przedmową, sprawa inaczej przedstawiać się będzie.

Pani zyska obywatelstwo w literaturze, a wtedy wszyscy zrozumieją, jakiem prawem nazwisko pani weszło w skład „Romowe".

W ten sposób — myślał Bielecki chytrze — zyskam na czasie.

Pani Tańska nie posiadała się z radości, którą napróżno ukryć usiłowała.

— Jakto? Zdaje mi się, że się przesłyszałam — pan zechciałby parę wstępnych słów do mego tomiku napisać?

— Nietylko parę słów, ale kilka stronic z bardzo szczegółową analizą pani utworów i specyficznego rodzaju talentu pani — Bielecki powiedział to z głęboką powagą.

— Tego w najśmielszych marzeniach śnić nie śmiałam.

— Wcale pani nie rozumiem — piszące kobiety chorują przeważnie na megalomanję, a z przyjemnością konstatuję, że kobieta, obdarzona wprost niezwykłym talentem, dziwi się temu, że ktoś kompetentny uczuwa to za święty obowiązek, by talent taki w pełnem świetle pokazać.

Nie pani mnie powinna być wdzięczną, ale przeciwnie: ja pani, bo rzadko mam tę rozkosz, by natrafić na istotny i w tak wysokim stopniu żywotny talent, jakim jest talent pani...

Pani Tańska oniemiała z radości i dumy.

— Ja tak nieskończenie panu jestem wdzięczna.

— Jeszcze po tem wszystkiem, co pani powiedziałem?

— Czy pan nie jest w stanie zrozumieć, czem są dla mnie słowa pana? To ziszczenie najgorętszych pragnień i marzeń, to dokonanie na jawie snów, których nawet śnić się nie odważałam.

Powiedziała to z tak naiwną, tak bezpośrednią szczerością, że Bielecki ani na chwilę nie wątpił o prawdzie jej słów.

No! to cię już teraz mam! pomyślał szyderczo — teraz mi się już nie wymkniesz.

— Więc zróbmy tak: ja w przeciągu trzech dni napiszę bardzo serdeczną, gorącą przedmowę, bo innej do utworów pani nawetbym napisać nie potrafił — w przeciągu jakich sześciu tygodni tomik pani ujrzy światło dzienne — ja poza tem wydrukuję w „Romowe" parę pani poemacików — w przeglądzie młodych sił, zwrócę na panią specjalną uwagę i odrazu ma pani imię i rozgłos — a co najważniejsze: prawo obywatelskie w republice artystycznej, a to nie tak łatwo zdobyć —

a wtedy — zyskuję na czasie, chciał powiedzieć Bielecki, ale się tylko rozkosznie uśmiechnął; będzie to dla mnie istotnym zaszczytem, panią, jako członka do redakcji „Romowe” powołać. I już ten fakt sam ustali pani sławę i poczytność, a przytem, ponieważ poruczę pani całkowicie dział twórczości piszących kobiet, nazwisko pani zyska ogromnie na powadze.

Pani Tańska parzyła na Bieleckiego jak w zachwyceniu:

— To pan — trudno jej było ze wzruszenia mówić — to pan to wszystko dla mnie uczynić zechce?

— Pewno, że dla pani — mówił Bielecki — i dla jej talentu, a nie dla jej pieniędzy.

— Ależ panie!

— Mogłaby pani być ubogą dziewczyną, ale z pani talentem, a to samo zrobiłbym bez chwili namysłu, a kto wie, czy nie więcej, bo nie narażałbym się na rozmaitego rodzaju przypuszczenia, że nie robię tego bezinteresownie.

— Któżby śmiał o to pana posądzać?!

— W tym wypadku nie, bo talent pani sam za siebie przemawia — ja tylko pani drogę toruję — nic więcej — siła talentu pani zamknie wszystkie usta — i to niezależnie od jakiegoś majątku, którym w tym wypadku pani rozporządza — a który mnie piekielnie mało obchodzi.

Sam jestem na tyle zamożnym, by dostatnio wyżyć, a dla „Romowe” w każdej chwili pieniądze znaleźć mogę, a jeżeli pani o chwilowych kłopotach mówiłem to jedynie dlatego, że dług, zaciągnięty u obcych finansistów, pociąga za sobą lichwiarskie procenty...

— Milcz pan! — podbiegła ku niemu zalotnie i zamknęła mu usta miękką, wyperfumowaną ręką.

A równocześnie, jakby się bała, że mógłby się do kogoś obcego udać, że mogłaby go stracić, a wszystkiemi siłami pragnęła go przywabić do siebie, szepnęła mu do ucha:

— Jedną chwileczkę drogiego mistrza samego zostawię... wybiegła z pokoju. Bielecki zatrząsł się cały. Miał ochotę śmiać się na cały głos, gwizdać, ryknąć z wszystkich sił idjotyczną niemiecką piosenkę, którą gdzieś w Bawarji podczas karnawału posłyszał:

O Susanna — wie ist das Leben doch so schön!

Ale zamiast tego posłyszał dokładnie jakby ktoś za ścianą nucił:

Płyń barko moja,
Pogoda sprzyja...

Aha! Zerwał się i usiadł: Dokąd? dokąd ja teraz płynę?

Ninę ujrzał teraz przed sobą, jak z ciężkim wyrzutem i pogardą na niego patrzyła...

— Pas de faiblesse! — zdążył jeszcze stary Bielecki mu do ucha szepnąć, bo już wróciła pani Leontyna z kopertą w ręku.

— Pan się nie zdziwi — mówiła figlarnie, zalotnie, poufale, że, ja, jako żona takiego pana, który śpiewa, ryby łapie i drzewo rąbie, znam się trochę na arkanach ubioru męskiego.

Tę kopertę wsadzimy do wewnętrznej kieszeni pańskiego, zresztą bardzo eleganckiego tużurka.

Odpięła pierwszy guzik tużurka i wsadziła mu zręcznie do kieszeni wewnętrznej kopertę, i jakby przypadkowo spoczęła jej ręka chwilę na kamizelce w okolicy serca.

A serce Bieleckiego waliło, jak młot wali o grubą sztabę żelazną z zaciekłem pragnieniem,

by ją w kawałki rozbić, a tą sztabą był niepojęty lęk, który żadną siłą rozbić się nie dał: lęk, że Ninę traci.

— O! jak serduchno bije! — powiedziała z pieczołowitą troskliwością. — Bielecki czuł, że to pretekst, by mogła dłużej rękę na jego sercu potrzymać, więc gwałtownie chwycił tę rękę — i aby się oszołomić, zapomnieć, począł ją gorąco całować — a nikt lepiej od niego nie umiałby odegrać tej — w danej chwili — trudnej roli.

Była istotnie zmieszana? czy też tylko udawała zmieszanie, niepokój, wystraszenie? Tego już Bielecki wymiarkować nie zdołał, a jeżeli grała komedję, to w takim razie miał godną siebie partnerkę.

I to było doskonale powiedziane, jak gdyby chciała rozluźnić zbytnie jeszcze przedwczesne naprężenie nerwów:

— Tylko proszę koperty nie zgubić, bo w niej jest czek, który umożliwi — jak to pan powiedział? zasadzenie nowych dębczaków na miejsce starych dębów spróchniałych, a przedewszystkiem nie pozwoli, by ogień święty w „Romowe" mógł choć na chwilę przygasnąć...

Chciał coś powiedzieć, ale przerwała mu, szybko schwyciła go za rękę — wstał — wzięła go teraz pod ramię:

— Teraz już dajmy spokój interesom — dawno już lokaj wyczekuje, kiedy wreszcie może podać kolację. Kazałam nakryć w tym zacisznym moim pokoju...

Aha, tem dużem łóżku, pomyślał Bielecki...

— W tej wielkiej jadalni panuje chłód i nuda oficjalnych przyjęć — a tam miło i dobrze — jestem tak rozradowana i tak szczęśliwa tem wszyst-

kiem, coś mi pan dziś powiedział, żebym tam wysiedzieć nie mogła.

Gdy weszli do zacisznego pokoju, który Bieleckiemu już raz wydawał się jednem, dużem, wytwornem łóżkiem, był zdumiony, z jakim zbytkiem i przepychem na nowo był urządzony, by z tego pokoju stworzyć zmysłowe, lubieżne, drażniące zacisze.

Na stole, nakrytym na dwie osoby, pełno było kryształów z egzotycznemi kwiatami, których odurzającą wonią cały pokój był przesycony; w srebrnym kuble mroził się szampan, a z całego wyrafinowanego „arangement“ wyczuł Bielecki, do czego pani Leontyna zmierzała.

I, jeżeli istotnie pragnęła wywołać w nim iluzję jakiegoś niezmiernie wytwornego i pikantnego zarazem „cabinet particuler“, to jej się to w zupełności udało. Wobec tego wydały mu się „cabinets“ w najwięcej „fashionable“ restauracjach paryskich — lichemi kabinami.

Teraz na oślep! naglił stary Bielecki — nie patrz ani za siebie, ani przed siebie — bo inaczej wszystko przepadnie — zapomnij o wszystkiem — zwycięstwo masz w ręku — zdołaj je tylko wykorzystać!

I z jakimś rozpacznym humorem zaśpiewało w nim jaskrawym dyszkantem:

Płyń barko moja,
Pogoda sprzyja...

XIV.

I ponownie dźwignął się Bielecki z trzęsawiska, w które coraz bardziej już zapadał, a już miał bardzo małą nadzieję wybrnięcia.

A miał teraz często sposobność zastanawiać się głęboko nad potęgą pieniędzy. Niewiadomo, czy dyrektor banku nie zdradził tej tajemnicy, iż Bielecki w nim czterdzieści tysięcy rubli złożył, czy też numer konta czekowego, który się nagle na blankietach papieru listowego redakcji „Romowe“ pokazał, pozwalał robić rozmaite domysły i przypuszczenia, czy też służący redakcyjny, który podejmował pieniądze w banku, rozpuścił wieść między ludźmi o ogromnym kapitale, jakim Bielecki rozporządza, dość, że z dnia na dzień rósł w poważanie ludzi, którzy go dawniej prawie lekceważąco witali, dziś z uśmiechniętą miną i prawdziwym szacunkiem poczęli mu się kłaniać; na wszystkie zaproszenia o współpracownictwo otrzymywał odwrotną pocztą zgadzające się odpowiedzi, bo żadne pismo w Polsce nie płaciło nawet w przybliżeniu tak świetnych honorarjów Zgromadził wokół siebie cały sztab wysoce uzdolnionych młodych artystów; na kierownika artystycznego powołał wybitnego i wysoce uzdolnionego malarza, który przedtem długi czas studjował zagranicą wszystkie najnowsze zdobycze techniki drukarskiej.

Zaroiło się w bardzo pięknej poczekalni redakcyjnej, która jeszcze do niedawna pustkami świeciła — na ogromnym stole były wyłożone najkosztowniejsze i rzadko komu przystępne publikacje zagraniczne, na ścianach rozwieszone litografje i drzeworyty wybitnych współczesnych malarzy europejskich: jednem słowem poczekalnia była raczej salonem artystycznym, a nie przykrą ubikacją wyczekujących głodomorów, z których niejeden w swojej tece nosił patent na genjusza, ale jeszcze nie uprawomocniony.

Wszystko w „Romowe“ musiało teraz każdego szacunkiem przejmować: odświętny tużurek buchaltera, który teraz równocześnie objął miejsce

p. Koczora i mógł sobie pozwolić na nowe ubranie, bo Bielecki wypłacił mu sutą gratyfikację — piękna liberja woźnego redakcji, na której pozłacanych guzikach widniał rozłożysty dąb, z angielska przybrany boy do posługi i przystojna panienka, pisząca na maszynie.

Z ogromnem napięciem i niecierpliwością oczekiwano nowego numeru, który Bielecki umyślnie opóźnił, a o którym raz po raz przedostawały się wzmianki, coraz więcej zaostrzające ciekawość.

W kawiarniach przy stolikach artystów, literatów, dziennikarzy, o niczem innem nie było mowy, jak tylko o „Romowe". — „Romowe" stało się zwykłym tematem rozmów w kołach inteligencji, interesującej się sztuką, a w obozie „Ex Oriente" powstał niepokój i popłoch, tem przykrzejszy, że Okaima nie wiedział, czem zdoła wykupić z drukarni następny numer „Ex Oriente", w którym Regina przypuściła gwałtowny, całkiem już rozwścieczony szturm do fortecy Bieleckiego.

Bielecki pracował gorączkowo, z wytężeniem wszystkich sił — z niesłychanym wysiłkiem wprawił się znowu w ten dla niego już wprost bolesny stan, w którym wkraczał w dziedzinę twórczości.

Przy swej wysokiej kulturze artystycznej, długim pobycie zagranicą, obznajomieniu się z najwyższym wykwitem twórczości europejskiej, własną bogatą i niezawodną zdolnością krytyczną, umiał nowy numer „Romowe" tak złożyć, że dał niejako przekrój umysłowej i artystycznej tężyzny polskiej do tego stopnia, że każdy cudzoziemiec mógłby jednym rzutem oka ogarnąć, po przeczytaniu tego numeru, wysoki stopień artystycznej kultury polskiej.

A równocześnie musiało mu społeczeństwo przyznać wielką zasługę, bo ten, programowy nie-

jako numer drukował się w świetnym przekładzie w Paryżu w języku francuskim.

O tem wszystkiem stolica była doskonale poinformowana — całkiem rozwiało się niedowierzanie i coraz więcej zakorzeniający się sceptycyzm, który powadze jego nazwiska tak już szkodzić począł, a pamflet Gajeckiego, o ile nie poszedł w niepamięć, uważano za zatrutą strzałę z wrogiego obozu, potworną wprost insynuację.

Cała opinja przechyliła się na stronę Bieleckiego. Coraz głębiej wsiąkało w publiczność przeświadczenie, że on zainicjował nową erę w kulturze polskiej, otworzył okno na Europę, spełnił zaszczytny obowiązek obywatelski, bo stara się cudzoziemców zaznajomić z stanem rodzimej kultury; rada miejska na poufnem zgromadzeniu ofertę Bieleckiego, którą już przed dwoma tygodniami wniósł, by objąć dyrekcję teatru, traktowała bardzo poważnie, przedrukowano całą rozprawę Bieleckiego o reformie teatru, którą tenże, zanim się miała pojawić w „Romowe" naprzód już w kilkudziesięciu egzemplarzach wydrukował i poszczególnym „organom" miejskim, decydującym o losach teatru, rozesłał.

I tą właśnie rozprawą zyskał sobie takie zaufanie i wywołał taką pewność w łonie komisji teatralnej, że nikt nie wątpił, iż Bielecki w krótkim już czasie — i to co najważniejsze, tanim kosztem, zdoła przeprowadzić doszczętną reformę „in capite et membris", jak się przewodniczący wspomnianej komisji wyraził.

A przytem stawiał Bielecki pokaźną kaucję w kwocie dwudziestu tysięcy rubli.

I to ostatnie przeważyło wszystkie szanse na stronę Bieleckiego, ale już przed ostatnią decydującą sesją uważano kandydaturę Bieleckiego za rozstrzygniętą.

Okaima zapadał coraz częściej w ponurą zadumę, Koczor się pienił, tylko jedna Regina uśmiechała się coraz złośliwiej i z coraz więcej tajemniczą miną.

Żaden, nawet najzręczniejszy detektyw nie byłby w stanie tak solidnie i z taką precyzją wymyszkować stosunku Bieleckiego do pani Tańskiej, jak właśnie ona. — Wiedziała dokładnie, o jakiej porze zachodził Bielecki do pałacyku przy Alejach Ujazdowskich, kiedy go opuszczał, a co najważniejsze: zdołała się dowiedzieć, z jakiego źródła czerpał Bielecki pieniądze. To ostatnie było rzeczą bardzo trudną, bo trzeba się było zaznajomić z urzędnikami banku, by móc się dowiedzieć, na czyje konto Bielecki pieniądze pobierał, ale w tem nieocenioną pomocą był dla niej Koczor, który szybko zawarł w knajpie znajomość z odnośnym personelem bankowym.

Chytrze, podstępnie śledziła Bieleckiego krok za krokiem, widziała kilkakrotnie, jak wyjeżdżał z panią Tańską jej amerykańskim automobilem za miasto, jak rozkochana pani Leontyna wybiegała, by go raz jeszcze skinieniem pożegnać, na taras pałacyku, widziała, jak często gęsto zachodziła do redakcji i całemi godzinami tam przesiadywała: Regina krążyła, jak hiena, wówczas wokół redakcji, to czuwała naprzeciw pałacyku — a gdy widziała przez firanki ich obojga sylwetki, zlewające się w jedną całość, wtedy nie czuła zimna, nie czuła, że cała jest skostniała i zębami z zimna szczękoce, bo rozpierała ją gorąca krew zemsty i odwetu.

Wreszcie zdołała dźwignąć ciężar obuchu, który miażdżącym ciosem miał spaść na głowę Niny — czy jego też? — dobrze nie wiedziała, bo Bielecki był czemś nieuchwytnem, czemś, który się nigdy z niczem nie zdradził: w każdym razie dozna sil-

nego wstrząśnienia. Czekała tylko stosownej pory, a Regina, w zaciętej chciwości zemsty, umiała czekać.

Bielecki wiedział dobrze, jak „powaga” jego nazwiska niepomiernie się wzmogła, wiedział o tem, że przyjęcie jego oferty na dyrektora teatru jest prawie zapewnione: prasa go popierała, wyliczała jego zasługi; cała młódź artystyczna zbitą falangą broniła go przed wrogiemi pociskami, ale równocześnie czuł — nie wiedział z jakich powodów i przyczyn, że się nad nim ciężkie chmury zbierają, z których straszny, niszczący grom w niego padnie.

Z zaciętą mocą postanowił zwyciężyć, choćby miał lec — ale lec zwycięzcą. I to postanowienie pozwoliło mu utrzymać równowagę, którą bezustannie tracić się zdawał.

Stosunek do bogatej pani Tańskiej zaciężył mu cetnarami żelaza u nóg. Myśl, że ten stosunek prędzej, czy później wyjdzie na jaw, że Nina się o nim dowie, że wtedy niechybnie Ninę utraci, ścinała mu krew w żyłach. Nie śmiał już Ninie jasno w oczy patrzeć i z przerażeniem czuł, jak Nina swoje jasnowidzące oczy coraz głębiej w niego zapuszczała: niezadługo przejrzy całą tajemnicę, nawet od nikogo o niej dowiedzieć się nie potrzebuje.

I ta myśl, że Ninę może już niezadługo utraci, całkiem go pętała, paraliżowała mu mózg, rozlała się zabójczą trucizną w jego krwi, rozpanoszyła się tak wszechwładnie w nim całym, że tylko z największym wysiłkiem był w stanie pracować, o czem innem pomyśleć, opamiętać się.

Ustawicznie popadał w roztargnienie, w głęboką zadumę i coraz boleśniej odczuwał teraz już częściej powtarzające się stany rozdwojenia.

I coraz częściej patrzył w groźne, złowrogie oczy Górskiego, trupa Łusi, wyciągniętego przez rybaków na brzeg — z zajadłą zaciekłością szydziła Ada — rycerskim snem bohaterskich przodków śnił Poraj — straszyła go nieludzkim grymasem wykrzywiona maska Kotowicza: zrywał się wtedy, wylatywał na ulicę, błądził po pustych zaułkach i znowu wracał, by się oszołomić pracą i straszne widma z przed oczu odegnać.

Schudł, wyżółkł, stawał się opryskliwym i nieznośnym, to znowu popadł w drugą ostateczność: kajał się przed Niną, stopy jej i suknie całował, chciał z jej oczu wyczytać każde życzenie, ale Nina nie miała życzeń; chciałby ją na ręce pochwycić, ale nie śmiał, bo lękał się, że ją skala i splugawi, a z jej coraz więcej przezroczystej twarzy, coraz więcej jasnowidzące oczy wświecały się z bolesnym smutkiem w jego duszę.

A co najgorsze: stary Bielecki już go nie podtrzymywał, całkiem go już zdawał się opuścić. W miarę, jak jego fizyczne siły wskutek tak obłędnej dusznej rozterki wątlały i podupadały, coraz rzadziej się odzywał.

Często go wołał na ratunek, ale nigdy wczas nie nadchodził: przeciwnie nawiedzał go wtedy, gdy Bielecki chwytał w objęcia Ninę i w rozpacznym szale miłosnym pragnął o wszystkiem zapomnieć, wtedy bluzgał najohydniejszym cynizmem, wtedy najpotworniejsze rady do uszu mu szeptał.

Chwytała go wtedy obłąkańcza wściekłość na panią Tańską, a myśl, że będzie jutro musiał do niej pójść, lub ją w redakcji przyjąć, napełniała go lękiem, czy zdoła jeszcze tę niecną, hańbiącą komedję grać dalej.

Czyżbyś ty — nacierał wtedy stary — istotnie nie miał sposobu, by się pani Leontyny pozbyć?

Umiałeś przecież dać sobie radę z Łusią, a tu tchórzysz? Tak już silnie nadgryzła miłość korzenie twego bytu?! Bo przecież się nie łudzisz, że ta miłość, która dla innego byłaby wniebowstąpieniem, odrodczą mocą, anteuszową siłą — dla ciebie jest upadkiem i osłabieniem i uśpieniem twej czujności — załatw się czem prędzej — nalegał stary — przecież istnieje tysiące sposobów, któremi tego śmiesznego pawia uprzątnąć możesz i to tak delikatnie i tak spokojniutko, niewiedząco, jak się Ady pozbyłeś.

To cię kosztuje jeden lub dwa dni zimnego, spokojnego namysłu, a potem już będziesz wolny i z Niną szczęśliwy.

W tych chwilach Bielecki zieleniał trupią bladością, ręce jego latały jak w febrze, oczy się nadmiernie roztwierały, jakby się w nich obłęd już zagościł.

Ale cały gniew, rozterkę, rozpaczne szamotanie się przygłuszały zwycięskie fanfary — bliższe, coraz bliższe, rozbrzmiewały mu w uszach, a w ryku trąb, przeraźliwem świstaniu piszczałek, dudnieniu bębnów uspakajał się, tężał, rósł, upajał się, że wrogów u nóg swoich zwalił, upijał się triumfem, jak haszyszem.

Wreszcie nadszedł dzień zwycięstwa.

Ukazanie się tak dawno zapowiadanego numeru „Romowe" było jedną wielką sensacją dnia.

W niesłychanie wytwornej szacie, o niezmiernie bogatej i wyborowej treści, mógł ten gruby, bo potrójnej prawie objętości zeszyt służyć nietylko za wzór, ale nawet niedościgły prawie ideał drukarskiego sztukmistrzostwa.

„Romowe" przerastało o całe niebo wszystko, co się dotychczas na rynku w Polsce w tym rodzaju ukazało, a z zagranicznemi wydawnictwami nie-

tylko, że mogło się śmiało mierzyć, ale nawet nie wiedziano o takiem, któreby mu dorównać mogło.

Słowo wstępne, pisane przez Bieleckiego po długich konferencjach z Gwontem, ale ani Gwont, ani Bielecki nie wiedzieli, komu się prawo autorskie przynależy, tak równomiernie pracowali i tak się ze sobą zrośli, było arcydziełem w swoim rodzaju. Jasno, z obuchem przekonywającą siłą, natchnionym rozmachem wyłuszczył Bielecki zadania kultury narodowej i obowiązki społeczeństwa wobec sztuki polskiej, z taką proroczą mocą wskazywał na niedalekie już horyzonty wawrzynowej przyszłości, kiedy Polska przez panowanie w Duchu nad narodami odniesie najszczytniejsze zwycięstwo, jakiem się dotychczas pochlubić jakiś naród może, z taką wizyjną siłą odsłaniał perspektywy, w których ukazywał Polskę, odmładzającą i odradzającą umysłowość całej Europy, Polskę, otoczoną podziwem i szacunkiem, triumfującą nie zdobyczami politycznemi, ale temi, które nie przemijają i po wszelką wieczność trwają, unieśmiertelniają. Tak to wszystko promieniało ogniem zapału i naprzód rwącą się siłą dojrzałej męskości, że nietylko porywało improwizacyjnem prawie natchnieniem, ale przekonywało i przemocą do duszy czytelnika, jakby jakiś nieomylny dogmat się wdzierało.

W długim szeregu następowały po sobie utwory powieściowe, poematy, nowele, filozoficzne artykuły, a wszystko zdawało się potwierdzać zapewnienie Bieleckiego, że już niezadługo umysłowość polska wszechwładnie zapanuje nad każdą inną, a panowanie Polski w Duchu już się rozpoczęło.

Najjędrniejsze, najwięcej żywotne i bogatą przyszłość obiecujące twórcze siły Polski współzawodniczyły tu w szlachetnej rywalizacji. Bielecki

chciał światu pokazać całokształt duszy polskiej w całej jej ogromnej różnorodności i bogactwie.

Mnóstwo akwafort, litografij, barwnych reprodukcyj, akwarel, fotografij, rzeźb, bogato były rozrzucone w całym zeszycie, a wszystko cenne i pierwszorzędnej wartości.

Rozprawa Bieleckiego o reformie teatru miała ogromne znaczenie aktualne, a była tak świetnie napisana, z taką gruntowną znajomością nietylko swojskiej sceny, ale i zagranicznej — wszystkie próby reformy, podjęte zagranicą, podane były tak gruntownej i rzeczowej krytyce, wywody Bieleckiego tak olśniewały nowemi i nawskroś oryginalnemi poglądami, że nawet najwięcej oporni ulegli niepomiernej sile sugestywnej, z jaką Bielecki projekt swój reformy przedstawił, że nikt już nie wątpił, iż w najbliższym czasie dyrekcję, mocno zaprzepaszczonego i niedołężnem kierownictwem zdemoralizowanego, teatru obejmie.

Szczególną uwagę zwróciły również dwie bogato przyozdobione stronice inicjałami i ornamentami, wzorowanemi na miniaturach rzadkich francuskich inkunabułów, a na tych dwóch stronnicach widniały pierwiosnki muzy pani Leontyny Tańskiej: trzy poemaciki, tchnące wykwintnym parnasizmem francuskim, wzorowane było coprawda na de Heredia i Moreas'ie, pieszczotliwie wycyzelowane, ale miały mimo tych wyraźnych pierwowzorów blask swojskiego słońca.

Tem większą uwagę zwrócono na te poematy, bo Bielecki wskazał w osobnej wzmiance na ich specjalną wartość artystyczną, zapowiedział ukazanie się niebawem w bibljotece „Romowe“ całego tomiku, z którego teraz parę perełek wyjął.

Nad cyzelowaniem tych poemacików i napisaniem onej gorącej wzmianki, przed którą jego

pióro się wzdrygało, stracił Bielecki parę godzin: ciekaw był tylko, czy pani Leontyna swoje poematy w tej całkiem zmienionej redakcji zdoła rozpoznać.

Ale istotną sensacją, niezwykłą ucztą dla kawiarnianych bywalców, genjuszów bez teki, długowłosych adeptów sztuki, dla wszystkich Chrześniaków i Zieleniaków, jakich Bielecki dawniej tuzinami hodował, „clou“ dla rozplotkowanej gawiedzi, była odpowiedź, jaką Gajecki dał sobie samemu na pamflet, pomieszczony w „Ex Oriente“.

Wysokie honorarjum, jakie Bielecki Gajeckiemu przyrzekł a co najważniejsza wypłacił, podziałało tak, że Gajecki sam siebie zdystansował.

Pamflet w „Ex oriencie” był bladym wobec tego, który się teraz w „Romowe” pojawił.

To już były niesłychane fajerwerki zabójczego dowcipu, fontanny szalonej, już na całe życie ośmieszającej satyry, kpin, wydrwiwań, miażdżące parodje, karykatury, godne ołówka jakiegoś Daumière'a, tylko jeszcze złośliwsze, jeszcze więcej ironizująco-djabelskie.

Gdy Okaima to przeczytał, zapienił się z wściekłości, trząsł się, jak w febrze, a gdy ochłonął, zrozumiał, że to jest unicestwienie — śmierć, gorsza nad każdą inną, bo uczuł się pod pręgierzem nietylko drwin, ale i niesławy i hańby i szantażu, że niechlujnym pamfletem chciał się pomścić nad Bieleckim za wyrzucenie go sromotne z redakcji „Romowe”.

Gajecki powyciągał wszystkie rejestra swej genjalnej, ale nawskroś spodlonej duszy — grzmiał oburzeniem, gryzł, kąsał jadowitemi dowcipami, do naga rozbierał Okaimę i cały jego sztab, harcował wokół nich i walił i smagał i chłostał do krwi. W aluzjach aż nadto przejrzystych, w ob-

słonkach, parabolach i hyperbolach odsłonił Koczora, a najwięcej i najzłośliwiej rzucił się na Reginę. Tej już całkiem nie szczędził, a potem cisnął ją publice na połknięcie.

Ale podczas, gdy Okaima w ciężkiej i przykrej zadumie zdawał sobie dokładnie sprawę, że z takich ciosów już się wylizać nie zdoła, postawa panny Reginy była coraz butniejsza i coraz więcej pewna siebie.

Oczy jej zezujące jarzyły się zaciekłą zemstą, usta wykrzywiał piekielnie zły, piekłem nienawiści dyszący uśmiech i z tym to uśmiechem obrzydliwych, szerokich ust i z tem spojrzeniem kosem spotkał się Bielecki, gdy pod wieczór znużony i wyczerpany pracą zaszedł do Schüta, nie wiedział nawet dlaczego, bo nawet nie z przyzwyczajenia: ostatni raz był tu przed miesiącem.

Bielecki nie raczył zwrócić uwagi na Reginę, której twarz była teraz rozłuniona cała pewnością i skutecznością bliskiej pomsty — a straszną miała być jej zemsta — odwrócił się, drgnął nagle, chciał się cofnąć, ale zawstydził się, że tchórzył i podszedł do stolika w odległym kącie, przy którym siedział Borsuk i z zacietrzewieniem czytał pamflet Gajeckiego z przed miesiąca w „Ex Oriencie".

W chorobliwie przeczulonej duszy Borsuka te wszystkie aluzje do Łusi, Ady, Poraja poczęły przybierać realne kształty — to, co w nim żyło w przeczuciu, w mglistej pomroce nieświadomości jęło się uplastyczniać, wizje i majaczenia jego chorego już mózgu podczas bezsennych nocy wylęgłe, nabierały rzeczywistego życia.

Stosunek Bieleckiego do Ady, podejrzenie, że Ada podpaliła szopę z jego obrazami, że Bielecki do tej haniebnej zbrodni musiał też przyłożyć rękę — wszystkie te kombinacje, poplątane, niejasne,

których się bał do końca rozwijać, stawały się teraz nietylko prawdopodobnemi, ale już pewnikami.

I z przebiegłością już kiełkującego obłędu rozpoczął na nowo przegląd wszystkich swych podejrzeń, przypuszczeń, wniosków, a każde zdanie jadowitego pamfletu Gajeckiego potwierdzało to, co uważał za chore majaczenie rozpacznej niemocy w sobie, utrwalało i podnosiło do sił absolutnego przeświadczenia.

Jakby coś Bieleckiego do podłogi przykuło.

Nie mógł kroku postąpić i patrzył w Borsuka, jak w jakieś widmo.

Borsuk całkiem go nie widział, oczy jego jarzyły się upiornym blaskiem obłędu, usta wykrzywiały się złowrogim śmiechem, a co chwila wykrzykiwał głucho: Aha! teraz rozumiem! Tak — tak! to ona, ta kurwa apokaliptyczna...

Bielecki zatrząsł się głuchym, podziemnym lękiem — posłyszał łoskot, huk w swoim mózgu, przed jego oczyma zaczęły się ogniste skry sypać — ale zdołał przełamać siłę, która mu ruszyć się nie pozwalała i siadł obok Borsuka.

— Dobry wieczór — powiedział i uśmiechnął się blado.

Borsuk spojrzał na niego, chwilę zdawał się go nie poznawać, a nagle zerwał się, obrzucił Bieleckiego wściekłem, złowrogiem spojrzeniem, rzucił półrublówkę na stół dla kelnera, splunął z pogardą przed Bieleckim i pędem prawie wybiegł z kawiarni.

I Bielecki się zerwał, odruchowo chciał Borsuka zatrzymać, ale spotkał się tylko z jadowitym zezem Reginy i bezczelnym, triumfującym uśmiechem jej szerokich, wyuzdanych ust.

Bielecki chwilę bacznie jej się przypatrywał, ziewnął, siadł przy oknie i wpatrywał się w wy-

ciągnięte sznury deszczu, który w powietrzu trzepał i lodowatemi igłami już samym swym widokiem skórę mrozem przeszywał. Patrzył i patrzył, ale nic nie widział, tak skupienie był w siebie wsłuchany.

Ktoś go trącił — obejrzał się, jakby się ze snu zbudził.

— Coś tak się zamyślił? — pytał Zieleniak, który już od dłuższego czasu naokół Bieleckiego się kręcił.

Zresztą nie dziw — Zieleniak przysiadł się do Bieleckiego — dziś się roztrzygają twoje losy dyrektorskie.

— Aha! Bielecki sobie uprzytomnił, że już przed dwoma tygodniami wysłał swoją rozprawkę o „reformie teatru" do komisji teatralnej, oraz swoją ofertę. To już dziś?

— To nic nie wiesz o tem? Właśnie na dziś zwołano tajne posiedzenie i dziś decyzja zapadnie — i to lada chwila.

Zieleniak patrzył niedowierzająco na Bieleckiego.

— Ty rzeczywiście o tem nie wiesz?

— W tej chwili zapomniałem o tem — tłumaczył się Bielecki, byle coś powiedzieć, bo z przerażeniem konstatował w sobie już od dłuższego czasu fakt wprost patologicznego roztargnienia.

— Czyś nie zauważył — indagował Zieleniak, że kawiarnie przepełnione, że telefon w oblężeniu? Wszystko to wyczekuje ostatecznego rezultatu.

— No, to i my tu zaczekamy — uśmiechnął się Bielecki i uczuł nagle z wielką przykrością, że wszystkich oczy były na niego z ordynarną natarczywością zwrócone.

Zawołał kelnera — kazał podać dwie flaszki absyntu i znowu mimowoli spotkał się z bezczelnie triumfującem spojrzeniem Reginy.

Tym razem zbudziła się w Bieleckim wściekła, nienawistna złość: Czekaj — psiakrew — w wolnej chwili pomyślę o tem, jakby ci twoje ślepia w dwa słupy soli przemienić. Grozisz mi twojemi ślepiami — triumfujesz, dajesz do poznania, że moje tajemnice znasz — już ja się z tobą uporam — a będę się musiał pospieszyć, pomyślał, a w duszy jego poczęły się rodzić jakieś niezłomne postanowienia.

Nagle zrobił się niezwykły ruch w kawiarni.

Jakiś pan wybiegł z budki telefonicznej, wskoczył na krzesło i tubalnym głosem ryknął na całą kawiarnię:

— W tej chwili na posiedzeniu komisji teatralnej został wybrany na dyrektora teatru większością głosów pan Henryk Bielecki.

Vivat, crescat et floreat!

Frenetyczne oklaski rozległy się po kawiarni.

— Niech żyje Bielecki.

Czego oni się tak drą? pomyślał Bielecki z niesmakiem i równocześnie skłonił się uprzejmie w stronę publiczności.

— Niech żyje i jeszcze raz niech żyje!

Delikatny słuch Bieleckiego wyłowił w tym grzmiącym okrzyku piskliwy dyszkant Reginy:

— Niech żyje Górski i pani Tańska.

Kwicz — kwicz! pomyślał Bielecki — użyj sobie — niezadługo kwiczyć przestaniesz, — Bielecki zaciął zęby — już ja ci urządzę bal, jadowita żmijo, pomyślał, ja już będę umiał na tobie Ninę pomścić.

Do kawiarni wpadł zadyszany woźny teatralny i podbiegł do Bieleckiego:

— Wielmożny panie — wołał już zdaleka — szukałem pana po całem mieście — tam w foyer teatru zgromadzony cały personel oczekuje wielmożnego pana.

Bielecki się nie spieszył.

— Powiedz, że zaraz przyjdę.

Dał mu rubla napiwku i spokojnie pił dalej absynt.

Niech się nauczą czekać, pomyślał — muszą już na wstępie odczuć, kto jest panem, ale równocześnie uśmiechnął się, bo przeleciało mu przez głowę, że punktualność jest grzecznością królów, więc pożegnał się z Zieleniakiem, skłonił się przy odejściu raz jeszcze publiczności, która go jeszcze gorętszemi oklaskami żegnała, wyszedł z kawiarni i skierował się w stronę teatru.

A im więcej się zbliżał ku przybytkowi, w którym już teraz wszechwładnie miał jakiś czas panować, tem wyraźniej uczuwał napływ sił, żelaznej woli, nieodwołalnych postanowień: jakby jakieś nowe, nieprzeczuwalne, ożywcze i odrodcze źródło nowej, młodzieńczej, nieokiełzanej, żadnych zapór, ani tam nieznającej mocy w nim się otworzyło.

Szedł sprężystym i zwycięskim krokiem — dusza mu rosła na myśl, że zwyciężył, ale twarz jego niczem nie zdradzała wewnętrznego wzburzenia: przeciwnie zdała się coraz więcej stygnąć, obojętnieć, była prawie surową.

Gdy się ukazał w foyer, wszystko ku niemu się poczęło cisnąć z powinszowaniami, doskonale odegraną farsą na temat ogólnej radości, uwielbienia, entuzjazmu, że dane im zostało wszystkie swe siły wytężyć pod dyrekcją ubóstwianego mistrza.

Przedstawicielem całego personelu był stary aktor, w którego chytrych oczach Bielecki kpiący śmiech, a w patetycznej, do niemożliwości napuszonej przemowie, wyczuł jak najoczywistsze drwiny.

Przerwał nagle cały potok bezsensownych frazesów i powiedział sucho:

— Nie na to przyszedłem, by łykać słodycze i marcepany, bo ich nie lubię. Poto się na wasze zawołanie tu nie stawiłem...

Wszyscy byli skonfundowani — jakiś mroźny wiatr powiał przez foyer.

Stary aktor wybałuszył swoje złe, teraz wściekłą złością nabiegłe oczy.

Ten młokos śmiał mu przerywać: Jemu?!

— Czułych komedyj przed sobą grać nie potrzebujemy — ciągnął Bielecki zimnym, lodowatym głosem — wiem dobrze, że w głębi duszy odnosicie się do mnie z nieufnością, a może i niechęcią, bo z tem uczuciem człowiek od początku świata do nowej władzy się odnosi, ja zaś nie taję, że jestem całkiem świadom wszystkich intryg, podstępu i zawiści i wszystkiego tego, co mi pracę moją bardzo uciążliwą robić będzie.

— Dyktatora zachciało mu się grać — pomyślał ktoś tak głośno, że Bielecki to posłyszał.

— Nie śni mi się grać roli dyktatora, jak to któryś z panów zauważył, ale będę istotnie dyrektorem. A, jeżeli na wasze zaproszenie się tu stawiłem, to nie nato, byśmy sobie wzajem dusery prawili, ale aby ściśle określić wasze obowiązki wobec mnie i moje wobec was.

Z wszystkich twarzy maski pozlatywały — już się nie silono na objawy radości i entuzjazmu — wszyscy poczuli żelazną rękę Bieleckiego i z trwogą i lękiem patrzyli w przyszłość, w której widniał jak najwyraźniej koniec dotychczasowej gospodarki, wygody, próżniactwa, warcholstwa i bezcelowego wałęsania się z kąta w kąt — koniec protekcji, intrygom, podjudzaniu; prawdziwy sądny dzień!

A w miarę, jak Bielecki w jędrnych, lapidarnych słowach określał zadanie aktora, zadanie dyrektora, który w tym wypadku będzie zarazem reżyserem, mroczniały twarze, garbiły się głuchym gniewem postacie starych, a bezużytecznych aktorów, hardo i buńczucznie podnosili głowy młodzi, a gdy Bielecki skończył zapowiedzią, że od dziś obejmuje teatr pod swoją wyłączną władzę, której dla żadnych względów, ani też przez nikogo ukrócić sobie nie pozwoli, zaległa głucha, martwa cisza.

— A teraz żegnam panów — od jutra rozpoczniemy wspólną pracę, a mam niepłonną nadzieję: wydajną i owocną.

Skłonił się i wyszedł, a za nim wysunęła się niepostrzeżenie Nastka i przychwyciła go w kurytarzu.

— Panie dyrektorze — mistrzu — Nastka trzęsła się ze wzruszenia.

— Dla ciebie jestem, jak zawsze „ty", a nie żadnym dyrektorem, boś rzeczywiście wielką artystką.

Zaciągnęła go do swojej garderoby.

— Coś ty nieszczęsny człowieku zrobił?

— To, com zrobić musiał, bo inaczej całą tę budę możnaby z daleko większą korzyścią przemienić na szpital dla wysłużonych emerytów, histeryzujących aktorek, na obłęd wielkości chorujących nieużytków, ale dajmy temu spokój — cieszę się, że cię widzę, a dawnośmy się nie widzieli.

Nastka patrzyła na niego z podziwem.

— Tyś urodzony możnowładca...

Bielecki uśmiechnął się i zapalił papierosa.

— Co za gest wielkopański, co za mina, postawa! ani jednym życzliwym uśmiechem nie raczył okrasić swej surowej perory... — nadsłuchiwała.

Głuchy pomruk dolatywał aż do garderoby Nastki: te odgłosy niesłychanie burzliwego sejmu, do żywego w ich godności podeptanych, przez smarkacza znieważonych, w gruncie rzeczy przed żelazną ręką drżących aktorów.

— Słyszysz? — pytała Nastka.

— Słyszę — uśmiechnął się Bielecki — tak musiałem do nich przemówić — mówił jak do siebie — nie smarować im miodu naokoło gęb, nie bawić się w androny, dykteryjki i głupie frazesy, boby mnie wyśmiali za plecami i niedługo byłoby tu mego wiekowania.

Trzeba było ich uprzedzić, zanimby zdołali mnie za łeb pochwycić, trzeba było im trochę karku nagiąć.

Nastka patrzyła z coraz większem zdumieniem i podziwem na Bieleckiego i kręciła niedowierzająco głową.

— Ktoby to pomyślał, że to ten sam słodki, wytworny Henio, co to tych samych aktórów, którym dzisiaj takie gorzkie nauki dawał, jeszcze przed rokiem spoił likierami i szampanem! Pamiętasz na owej wielkiej uczcie, którą nam szlachetny pan Ligęza fundował.

— Aha! — oczy Bieleckiego się zamgliły — pamiętam — a co się z nim stało?

— Daj spokój: to czarna plama na mojem życiu.

— No! cóż takiego?

— Właściwie tyś wszystkiemu winien — nieraz brała mnie taka pasja na ciebie, że gdyby nie myśl o twojej Ninie, do której czuję dziwną słabość, tobym ci już dawno była oczy wydrapała.

— A to dlaczego?

— Wstrętne mi to wszystko było, aleś ty mnie umiał tak omotać i oszołomić, żem uwierzy-

ła, iż wszystko co robię, to dla sztuki, żem wszystkie skrupuły w sobie zwalczyła, przemogła, zdusiła... ale to był strasznie przykry czas.

— Wyobrażam sobie — powiedział Bielecki obojętnie — jednej tylko rzeczy nie bierzesz w rachubę — tego właśnie, że twój talent ogromnie się w tym czasie wzmógł.

Miałaś czas i spokój do pracy i do intensywnego przerobienia swoich ról. Żyłaś w zbytku, nie potrzebowałaś uciekać przed wierzycielami, kryć się pod obcemi nazwiskami na poddasza, nie potrzebowałaś się lękać, że ci najlepszą suknię zafantują, ani też drżeć z przerażenia, że modystka na pół godziny przed spektaklem kostjumu ci nie wyda, bo nie będziesz miała czem zapłacić — o tem wszystkiem zapomniałaś — ocaliłaś się dla sztuki, a to coś z człowieka w sobie dla niej poświęciła, gadania niewarte. Pewnoś w jego objęciach recytowała sobie role najbliższego dramatu — wstał i zaśmiał się cynicznie.

— Nie! o tobie, myślałam — powiedziała pół żartem, pół serjo.

Spojrzał na nią filuternie.

— Zostaniesz mi zawsze bliską przyjaciółką i jako taką, poza twoim wielkim artyzmem, cenię cię.

Wciągnął rękawiczki.

— Idziesz już?

— Przecież dość często będziemy się spotykali.

— To prawda — ale ty zawsze zajdziesz do mnie na pogawędkę.

— Oczywiście. Wobec ciebie wszelkie podejrzenia protekcji i nepotyzmu są nonsensem — więc zgóry już złe gęby zamalowane. Chciał już wyjść, ale się zawahał.

— A co się z Ligęzą stało?

— Uciekłam od niego.

— Uciekłaś?

— Stawał się szorstki i ordynarny. Wyrzucał mi, że się dla mnie zrujnował, zboże na pniu sprzedał, lasy wyciął — cisnęłam mu wszystkie klejnoty pod nogi — począł przepraszać, tłumaczyć się — ale ja spakowałam się i byłam szczęśliwa, jak go już nie widziałam więcej — i tu wróciłam.

— On istotnie zrujnowany?

— Zdaje się.

— Nie żal ci go?

— Nie! — powiedziała Nastka twardo.

Jednego więcej trzeba było przez pokład wyrzucić, by zbytnio barki nie obciążał i cóż z tego? jeden więcej, jeden mniej — cóż to znaczy? niepotrzebny balast trzeba wyrzucać, bo inaczej barka pójdzie na dno, mimo, że już latarnia morska przyświeca zdala u wjazdu do portu — Bielecki szedł do domu, cały zatopiony w zimnych jak stal i jak stal nieugiętych myślach i postanowieniach do domu.

Zbyt kosztowny ładunek wiozę w mej barce, zbyt drogocenny skarb w niej ukryłem, bym się miał na chwilę wahać, bym mógł już, bliski brzegu, zezwolić na to, by z jednej strony Regina, z drugiej pani Leontyna mi barkę przeważyły, która tak, czy tak, już lada chwila rozbiciem grozi...

— Do pomocy Stary! Ostatni raz!

I z przerażeniem ujrzał nagle istotnie jakiegoś człowieka, który się tuż przed nim z ciemności wyłonił.

Obydwaj odruchowo na moment przystanęli.

— Rajfur — wrzasnął tamten zdławionym głosem do ucha Bieleckiego i szybko go minął.

Zaczem Bielecki się zdołał spostrzec, był już na zakręcie zaułka, ale w kręgu latarni na mgnie-

nie oka rozpoznał bolesnym grymasem wykrzywioną twarz Ligęzy.

Porwał się, by go dogonić, ale w tym momencie przystanął, machnął ręką:

— To było wysoce niemiłe! — zakonkludował tylko.

Teraz dopiero uczuł, że wichura zmarzniętym deszczem obsiekiwała mu twarz, że cały był doszczętnie przemoknięty i drżał z przenikliwego, mokrego zimna.

Tylko jeszcze resztę balastu poprzez pokład, a wtedy słońce zaświeci i wiosna się rozkwieci.

Do pomocy Stary! raz jeden jeszcze ostatni!

XV.

Dzień inauguracyjny nowego sezonu teatralnego pod egidą Bieleckiego, mający się rozpocząć galowem przedstawieniem i następnie festynem, wydanym na cześć nowego dyrektora przez najpoważniejsze obywatelstwo, mecenasów sztuki, artystów, reprezentujących tak sztuki piękne, jak i sztukę dramatyczną, ten niezwykłą sensację w całym mieście budzący dzień, uznała Regina za najodpowiedniejszy, by pani Leontynie Tańskiej pierwszą wizytę złożyć.

Ubrała się bardzo starannie, zaopatrzyła w kartę legitymacyjną delegatki z poręki klubu niewiast polskich — przez Koczora, który miał teraz rozległe stosunki między dramatycznymi artystami, z którymi godzinami wysiadywał w kawiarni i zbożnie i cierpliwie sprawował krecią robotę i zakładał ku wielkiej uciesze tychże artystów miny pod Bieleckiego — upewniła się, że Bielecki przez cały ten gorący dzień nie ruszy się z teatru, bo ani na chwilę

opuścić go nie może. Nie trudno jej było również pożyczyć od jednego starego aktora dziesięć rubli, gdy mu przebąknęła, że te pieniądze potrzebne w tym celu, by Bieleckiemu właśnie dzisiaj psikusa wyrządzić, wsiadła do automobilu w tem słusznem mniemaniu, że ludzi przyjeżdżających automobilem chętniej się do domu wpuszcza, aniżeli takich, którzy pieszo i z zabłoconemi bucikami przychodzą i kazała się popołudniu zawieźć do bogatej pani Tańskiej.

Kazała szoferowi czekać, zadzwoniła do furtki ogrodowej, lokaj stanął niedbale na tarasie pałacyku — ale — Regina nie pomyliła się — gdy ujrzał automobil, wybiegł na schody, truchtem przeleciał aleję i z głębokim ukłonem puścił Reginę naprzód.

— Pani Tańska w domu?

— Wielmożna pani jest u siebie — kogo mam zaszczyt zameldować?

Regina złożyła na srebrnej tacy swoją kartę wizytową, oraz legitymację z klubu niewiast polskich — lokaj wyszedł. Regina opadła w fotelu bogatej poczekalni.

— Wielmożna pani prosi panią, by zechciała chwilkę zaczekać.

— Dobrze.

Po wyjściu lokaja Regina poczęła się rozglądać po niewielkim, ale z zdumiewającym przepychem i bogactwem urządzonym saloniku.

Regina, która poza studencką mansardą i ohydną, staromodną tandetą przystrojonych ubikacyj nic nie widziała, czuła się nagle tem bogactwem i przepychem onieśmielona. Serce jej niespokojnie zabiło i chwilę drżąco załopotało:

A może on już tej pani coś o niej mówił?

Może jej wszystko opowiada, co się w redakcji „Romowe“ dzieje — ależ nie! musiałby jej wtedy o Ninie coś napomknąć.

Uspokoiła się: coraz zaciętszy stawał się wyraz jej ciemnej twarzy i coraz gorętsza nienawiść dyszała w jej sercu.

Czekaj, pomyślała zaciekle, odpłacisz ty mi za ten srom, za tę krwawą zniewagę, jakąś mi wyrządził, gdyś mnie z redakcji przepędzał — ha, ha — tobie się zdawało, że ci to płazem puszczę? O! boś nie znał Reginy — i ty jej nie znałaś, słodka gołębiczko: sama sobie dołek wykopałaś, skarżąc się przed nim na mnie — pewno się wtedy tego nie spodziewałaś, że cię teraz samą w ten dołek włożę.

Rozglądała się coraz baczniej, ale na nic uwagi skupić nie zdołała, tak cała jej myśl była pochłonięta uczuciem zemsty i drżącą niepewnością, czy się jej zemsta uda.

Kotara się rozsunęła: ujrzała przed sobą panią Tańską, strojną w bogate, haftowane, jedwabne, prawdziwe japońskie kimono: wstała, obie podeszły ku sobie.

— Bardzo mi miło — mówiła pani Leontyna z ujmującym uśmiechem — czem pani mogę służyć?

Obrzuciły się błyskawicznem spojrzeniem, z jaką brzydka kobieta zazdrości drugiej urody, a tamta lituje się radośnie nad brzydotą upośledzonej siostry.

— Ależ proszę, niech pani siada.

Siadły w fotelikach naprzeciw siebie.

Regina wywołała na swoje szerokie, grube i od mrozu popękane wargi uśmiech, który miał być czarującym, a silniej jeszcze uwydatnił jej brzydotę.

— Zostałam wydelegowana przez klub kobiet polskich, którego jestem sekretarką, nietylko, jako do wybitnej i możnej kobiety, ale i w równej mierze do wysoce utalentowanej artystki.

— Ależ o czem pani mówi? Te parę drobnych poemacików, które się w „Romowe“ ukazały — nie warto, by o nich wspominać.

— Przeciwnie, Regina siliła się na jak najszczersze akcenty, bo w głębi duszy dławiła zły śmiech i nurtującą ją wściekłość, która ją za każdym razem opadała, gdy ujrzała ładną kobietę — przeciwnie: świadczą o tak niezwykłej dojrzałości artystycznej, jaką rzadko u kobiet się spotyka — mam pewne prawo o tem mówić, bo i ja jestem współpracowniczką „Romowe“.

Pani Leontyna udawała rozkoszne zdumienie. To rzeczywiście te moje drobnostki zwróciły uwagę? Uczuła miłe łechtanie wzdłuż swoich nerwów.

— Otóż klub kobiet polskich, którego honorowym członkiem była Konopnicka...

— A! — powiedziała pani Leontyna i uczuła nagle szacunek dla tego klubu.

— A który często odwiedzają najwybitniejsze siły z świata artystycznego, polecił mi, abym gorąco panią prosiła, by zechciała na najbliższym raucie parę swoich utworów z manuskryptu przeczytać.

— Ależ droga pani, przecież ja całkiem nowicjuszka w świecie literackim.

— Tem lepiej dla nas, bo będziemy mieli tę głęboką satysfakcję, że właśnie w naszem gronie panią lepiej i bliżej poznamy, a dla pani będzie ułatwieniem, bo w ten sposób zyska pani najprostszą drogę do sławy i uznania.

Propozycja Reginy niezmiernie pani Leontynie podchlebiła: z coraz większą uprzejmością i życzliwością patrzyła na nią, ale jeszcze się wahała.

Regina czytała jej myśli.

— W imieniu klubu kobiet gorąco panią proszę — pani nawet nie wolno nam tej prośbie odmó-

wić — my kobiety powinnyśmy sobie za obowiązek uważać, wzajemnie sobie dopomagać i wspierać się, by społeczeństwu pokazać, na jak wysokim poziomie umysłowość nasza stoi i do czegośmy dojrzały.

— A więc dobrze — pani Leontyna grała prześlicznie skromne zakłopotanie — ja twoich pochwał nie potrzebuję, pomyślała przytem z dumą, kto inny, niż ty, na mój talent uwagę zwrócił.

Co za głupi, próżny, śmieszny babsztyl, pomyślała Regina, coraz więcej poirytowana wdziękiem pani Leontyny.

— Zgoda? — pytała Regina natarczywie, rozpromieniona szczęśliwem załatwieniem pierwszej części swojej misji.

— Zgoda! — podały sobie bardzo przyjaźnie ręce.

— I jeszcze jedną prośbę mam do pani...

— Ależ z przyjemnością spełnię, o ile będę w stanie.

— Dziś jest wieczór inauguracyjny nowego sezonu pod nowym dyrektorem, panem Bieleckim.

— Wiem o tem, wiem — więc cóż? — pytała pani Leontyna zaciekawiona.

— Pani może jednakowoż nie wie, jak wybitną rolę odegrał p. Bielecki w ruchu kobiecym?

— A! — przez twarz pani Leontyny przeleciał lekki rumieniec — ciekawam...

— Wprawdzie nie bezpośrednio — Regina gwałtem dławiła w sobie nienawiść, a że już nie była w stanie, mówiąc o Bieleckim, wywołać słodkiego uśmiechu na usta, więc ratowała się patetycznym tonem — bezpośrednio byłby mógł pan Bielecki naszej sprawie zaszkodzić — powiedziała to z naciskiem, ale chybiła celu, bo pani Leontyna

tak była ciekawa, co tu Bielecki ma do czynienia, że tylko czekała końca.

— Zato pośrednio poniósł ogromne zasługi naokoło naszych dążeń i usiłowań. Żaden artysta nie postawił na takim piedestale nowożytnej kobiety z wszystkiemi jej dążeniami i wysiłkami, by zdobyć sobie nową, niezależną pozycję w społeczeństwie, jak właśnie Bielecki w swoich utworach to uczynił. Nikt skuteczniej nie pomagał nam do rozkuwania tyranicznych kajdan, jakiemi nas dotychczas pętano, nikt skuteczniejszej propagandy dla naszego ruchu dotychczas nie zrobił.

Wolna kobieta w wolnym związku! to jego dewiza — Regina spojrzała znacząco na panią Leontynę.

Ale i tym razem pani Tańska nie zrozumiała, do czego Regina zmierza.

Co też to za tępy, zakuty łeb! pomyślała Regina wściekła, że żaden jej strzał zatruty nie trafia.

— Więc co? — zapytała pani Leontyna w najwyższym stopniu zaciekawiona.

— Otóż na ostatniem posiedzeniu klubu uradziłyśmy, by w tym dla całej Polski, jak i dla pana Bieleckiego uroczystym dniu, urządzić mu owację kwiatową, by mu przynajmniej w ten sposób naszą wdzięczność okazać.

— Ależ to wspaniała myśl! Pani Leontyna była tym pomysłem zachwycona i cała pokraśniała.

— Złożyłyśmy składkę między sobą, ale ponieważ kieszenie, wyzwalających się pracą z pod jarzma społecznego kobiet, są niebardzo zasobne...

— Ależ — przerwała gorąco pani Leontyna, niech mi panie pozwolą przyłączyć się do ich grona — i dla mnie pan Bielecki jest w równej mierze wielkim artystą, jak dla pani — zaszczyt mi to

przynosi, że panie się do mnie zwróciły — jaką sumą służyć mogę? zarumieniła się, bo teraz dopiero zmiarkowała, iż wobec jakiejś obcej osoby musi być powściągliwą z swemi gorącemi zachwytami dla Bieleckiego.

— Jaka suma jest jeszcze potrzebna?

— By owacja mogła być godną nas, wyzwalających się kobiet, to jeszcze około trzydziestu rubli.

— W tej chwili — pani wybaczy... — pani Tańska wyszła z saloniku.

Regina zaśmiała się złośliwym triumfem.

— Czekaj! „Das dicke Ende kommt nach“ — Regina zajmowała się kiedyś germanistyką w Berlinie.

— Proszę pięćdziesiąt — gdyby był jakiś niedobór, to proszę go pokryć.

— Dziękuję gorąco w imieniu klubu — rzekła Regina i włożyła niedbale banknot do torebki.

— I to pragnę jeszcze nakoniec zaznaczyć, że ta owacja kwiatowa przynależy się panu Bieleckiemu, nietylko jako twórcy, ale i człowiekowi. Jego pierwszego w Polsce było stać na to, by zawrzeć śluby — nie kościelne wprawdzie, ani też cywilne, ale o wiele świętsze śluby w wolnym związku.

Pani Leontyna zaparła oddech.

— O czem pani mówi? — wypowiedziała chwiejnie, bo bezwiednie czuła, że teraz czegoś strasznego się dowie.

Regina udawała mistrzowsko niepomierne zdziwienie.

— Jakto? to pani o niczem nie wie? Przecież to był przed rokiem głośny skandal.

— Jaki skandal? — W oczach pani Leontyny łopotał lęk — wystraszenie... ach! z jaką rozkoszą

napawała się Regina tym widokiem — och! gdyby teraz tak mogła Ninie o pani Tańskiej opowiedzieć! Co to byłaby dopiero za rozkosz!

— Nie myślałam, że jest jeszcze ktoś w Polsce, ktoby nie znał stosunku Bieleckiego z panią Niną Ligęziną?!

Pani Leontyna chciała się zerwać, ale tresura dobrego wychowania zmusiła ją do wytrwania.

— I w tem tkwi istotnie bohaterski czyn Bieleckiego, że on, na tak eksponowanem stanowisku, nietylko, że zdołał mocą swego talentu przełamać niechęć społeczeństwa, które mu bardzo za złe wzięło, że oderwał żonę od męża, że z nią potem razem zamieszkał i z nią dotychczas żyje, ale nawet zmusił je poniekąd do szacunku, gdy się przekonano, że ją poprostu na rękach nosi, że...

Regina była przerażona:

— Jezus Marja! co pani się stało?

Pani Tańska była trupio-blada, cała się trzęsła, dobre wychowanie zawiodło, wstała, chwiejąc się, z fotelu, znowu opadła i nagłym wysiłkiem się zerwała:

— Pani kłamie! — wyrzuciła przez ściśnięte zęby.

— Jakiem prawem pani śmie mi kłamstwo zarzucać? — pytała Regina z wyrazem najwyższego oburzenia.

— Pani kłamie! — w oczach pani Leontyny załyskała zbliżająca się burza.

— Zanim mi pani kłamstwo zarzuci, niech się pani uda do mieszkania Bieleckiego i naocznie się przekona — tam siedzi biedna Ninka, tak wystraszona naganką społeczeństwa, że lęka się na ulicę wyjść.

— Kłamiesz! — Leontyna ciskała błyskawice.

— Patrzcież tylko — szydziła teraz Regina — nowa zwierzyna zaplątała się w Bieleckiego sieci i teraz warjuje, jak jej się prawdę mówi... śmiała się już na cały głos i napawała się bezsilną wściekłością pani Leontyny.

Pani Tańska opanowała się: wielka dama przeważyła w niej wobec tej przybłędy — zadzwoniła energicznie — lokaj wpadł natychmiast.

— Proszę wyprowadzić tę panią — powiedziała z zimnym spokojem.

— Hortensja 3! — krzyknęła na cały głos Regina, upojona triumfem — szybko wybiegła z pałacyku i dopiero w automobilu zdołała ochłonąć: Udało się! miała ochotę powinszować sobie samej zwycięskiej kampanji.

Pani Leontyna stała chwilę na środku saloniku, jak do ziemi przykuta.

To przecież niemożliwe, to... to byłoby potworne, to całkiem wykluczone, by Bielecki mógł tak haniebnie kłamać jej i udawać miłość, a tymczasem inną na rękach nosić.

Piersi jej falowały, dech się w niej zaparł, nogi pod nią drżały, słabła i padła na fotel.

Nagle zerwała się i gwałtownie zaczęła biegać po pokoju.

Zacięła zęby, a oczy ją zabolały od napływu krwi.

Nie! nie! tak siebie oszukiwać, tak drwić z siebie nie pozwoli! Co za ohyda kłamstwa! Jakie podłe oszukaństwo!

Kłamał miłość, udawał czułość, aby tylko pieniądze z niej wydobyć — och! jakie to ordynarne! A ona mu wierzyła, gotowa była wszystko mu oddać — a jemu o nic innego nie chodziło, jak tylko o zdobycie pieniędzy.

Zaśmiała się spazmatycznym śmiechem...

A może to o nim kłamstwo — zastanowiła się nagle — może to tylko szantaż tej poczwary, która widocznie wyszpiegowała nasz stosunek, skradła kartę legitymacyjną klubu kobiet i wyłudziła od niej pięćdziesiąt rubli.

Chwilę się uspokoiła, a nagle:

Jeżeli to był szantaż, to przecież tak doskonale się udał, że ta kobieta nie byłaby potrzebowała o tej pani — jak ona się nazywa? Nina Ligęzina — mówić...

Co to wszystko miało znaczyć?!

I na nowo szarpnęła ją zazdrość i wściekłość, zgrzytnęła zębami i targała chusteczkę w strzępy:

Czekaj, mistrzu — już ja będę się umiała na tobie i na twojej kochance pomścić — a straszną będzie moja zemsta!

Biada ci, jeżeli to prawda!

Pragnienie zemsty zmogło jej siły, obudziła się w niej nagle krwiożercza zazdrość — nieprzeparta żądza, by swoją rywalkę stratować, zdeptać, poniżyć: jej — jej tylko jedynie miał Bielecki przynależeć:

On moim! tylko moim! wkrzykiwała w siebie — ja go chcę mieć! I w tej chwili zapomniała, że przysięgła sobie przed chwilą na Bieleckim się pomścić — nie! nie! on moim i musi być moim — dosyć mam środków, by go przywiązać, ale jego kochankę od niego odpędzę, z mieszkania jego wyrzucę... i znowu szybko obiegała pokój, drżąca, zdyszana, mściwa.

Całą ją opanował dziki instynkt samicy, przeraźliwy lęk namiętności i lubieżnej chuci, że mogłaby utracić tego jedynego...

I znowu się uspakajała chytrze i podstępnie.

Teraz czas się opanować: trzeba działać na trzeźwo i zimno.

Wychowawcza tresura od małego dziecka okazała się teraz skuteczną.

Opanowała wzburzone nerwy, stłumiła w sobie dziką zazdrość, zdusiła gniew i wstyd i poczęła myśleć zimno, twardo, nieugięcie.

To może tylko podstęp, by Bieleckiego ode mnie oderwać — w każdym razie naocznie się muszę o tem przekonać.

Prawdopodobnie on z całkiem innych względów trzyma tę kobietę przy sobie, jakżeby mógł ją kochać, jeżeli ja mu się cała niepodzielnie oddałam?

Spojrzała w lustro — w swoją, jak lalka z najświeższego żurnalu wyciętą, strojną postać, na całą, w ciemne, lśniące loki ufryzowaną główkę — czem każda inna wobec mnie?! Ha, ha, ha! Nie! Henio zdaje się nawet przygnębiony tym stosunkiem — taki był zdenerwowany, niespokojny, milczący w ostatnich czasach. — Gdy ją pieścił, wydawał się, jak nieprzytomny — pewno z rozpaczą myślał, jakiemi więzami jest tam skrępowany — rozgrzała się myślą o Bieleckim. — Co za śmieszna myśl, że onby mógł jej miłość kłamać! właśnie ją kochał, a tam kłamał!

Może, Henieczku, nie masz siły się uwolnić z tych więzów, to ja cię uwolnię! Może ci to nawet teraz nie będzie na rękę, ale potem błogosławić mnie będziesz.

Cały pierwotny, wrzący, zapalczywy gniew przeciw Bieleckiemu chłódł i stygł, a cała zła nienawiść pani Leontyny skierowała się w stronę tej — tej — jak ona się nazywała? — która się, gdyby pokrzywa do niego przyczepiła?

Oswobodzę! wyzwolę cię, Heniu! postanowiła i już całkiem opanowana i spokojna weszła do swego buduaru i rozejrzała się wokoło.

Tu wszystko przypominało jej długie chwile, razem z Bieleckim spędzone, wszystko zdawało się oddychać jego obecnością, żagwić się zimnym, a jakby właśnie dla jej ospałych nerwów rozniecconym ogniem wyrafinowanych pieszczot i rozkoszy i już teraz chwili się nie wahała.

Przebrała się sama, bo nie chciała wołać panny służącej, by jej wzruszenia nie dostrzegła — rozglądała się długo w lustrze i uśmiechnięta wzgardliwie na myśl, że mogła na chwilę pomyśleć, iż Bielecki inną nad nią mógłby kochać, siadła już całkiem gotowa do wyjścia na szerokiej, kosztownym wschodnim dywanem pokrytej otomanie, by wszystkie siły skupić i Henia — teraz go już pieszczotliwie jego imieniem, głaszcząc, nazywała — z pod ciężkiego jarzma wyzwolić.

A gdy już osad nienawiści, zemsty i wszystkich tych uczuć, które mogły jej w jasnem i trzeźwem postanowieniu uniesieniem, lub bezmyślną zapalczywością zaszkodzić, całkiem już opadł na dno, gdy w mózgu swym nic więcej nie czuła, prócz zimnej, zmarzniętej bryły lodu, wstała, zadzwoniła, a gdy ukazał się lokaj:

— Proszę w tej chwili automobil — rozkazała niedbale i powoli zapinała rękawiczki.

W przedsionku wyczekiwała garderobiana, bo już się od lokaja dowiedziała, że się coś niezwykłego stało — zarzuciła na wielmożną panią kosztowne futro — persjeny z szęszilami — pani Leontyna z wytworną godnością przeszła aleję ogrodową i wsiadła do swego amerykańskiego automobilu.

— Hortensja 3 — rzuciła, a twarz jej wykrzywiła się złośliwym — zaciętym uporem.

XVI.

W pamiętnym owym dniu, który zapowiadał ostateczny triumf Bieleckiego, Nina była więcej jeszcze przygnębiona niż zwykle.

Bieleckiego trawiła gorączka. Całemi dniami wysiadywał w teatrze, bo już pierwszy dramat, który miał być wystawiony w jego reżyserji, jego przeżyciu i obmyśleniu, miał zdecydować o całem jego stanowisku, odrazu je utrwalić i zyskać mu pełne zaufanie publiczności i tak zwanych miarodajnych sfer... Zdawał się o niczem nie myśleć, jak tylko o tem, ale czujne oczy duszy Niny widziały poza tą skrzętną zapobiegliwością, chorobliwą prawie energją, z jaką Bielecki pracował, całem tem bezpamiętnem oddaniem się rzeczy, której się podjął, głuchy niepokój — rozpaczny prawie wysiłek, by podejść samego siebie i przed samym sobą uciec.

Ruchy jego były niespokojne, raz po raz popadał w ciężką zadumę, czoło orało mu się w głębokie bruzdy, twarz zapadała, a nagle zrywał się, chwytał ją w ramiona i tulił tak silnie i gorąco, jakby mu ją ktoś przemocą wyrywał.

Wtedy nie miała wrażenia, że to on ją obejmuje ramionami, przeciwnie budził się w niej nieświadomy instynkt, że to ona go ogarnia ramieniem i chroni przed burzą, jaka w nim wre.

A w tych chwilach, chociaż ból jej serce skręcał, miłość jej ofiarna goręcej jeszcze płomieniała — ukropem żywego ognia rozlewała się w jej żyłach — całkiem zapominała o jego zbrodniach — Górskim — Łusi, o tem, że tam na jakichś dramatach wypisał swoje nazwisko, budził się w niej idolatryczny prawie szacunek dla jego niezmożonej siły, dla bohatera, który sam jeden walczy przeciwko tej olbrzy-

miej przewadze: odcięty od wszystkich zdołał się przerąbać przez zwartą hordę, która go z wszystkich stron osaczyła. A gdy się w nocy budziła, w słabem świetle, całą noc palącej się lampki, widziała na jego twarzy ten jakiś ogromnie tragiczny wyraz ciężkich przejść, wewnętrznej rozterki, wtedy pragnęła szarpią tej współczującej miłości zatamować nawet we śnie krwawiące się rany swoją wiarą, niegasnącą w niego, dać mu cudotwórczą siłę, dać mu do ręki magiczną różdżkę, pod której uderzeniem źródło ze skały wytryska.

I tak, wpatrzona w jego twarz, mogła spędzać długie, bezsenne chwile, w tę twarz, której ukryte rany przeczuwała, ale jasno odczytać jeszcze ich nie mogła.

Kto on? pytała wtedy siebie po tysiączny już raz.

A jakiś niemy przestrach ją wtedy ogarniał, bo nagle wydawał jej się obcym i o tysiąc mil odległym.

Ustawicznie miała to wrażenie, jakby był mgłą przysłoniętym, w snach go widziała, jak się dostał na zaciekłe wiry, które nim szarpały, rzucały go na jedną i drugą stronę i znowu w siebie wchłaniały, widziała go, jak z nieludzką siłą walczył, by się za ich obręb wydostać — a wtedy budziła się z rozpacznym krzykiem, nawpół nieprzytomna, tak, że dużo czasu potrzebował, by ją uspokoić. Widziała go na pokładzie tonącego okrętu, jak zimny i spokojny, po pas w wodzie wydawał swoje ostatnie rozkazy — on, kapitan nieustraszony; w ostatniej chwili jeszcze przedziurawił kulą głowę jakiegoś marynarza, który przed podróżnym i chciał się ratować i posterunek opuścił, a najczęściej majaczyły się jej jego oczy, gdyby dwie latarnie rozszalałej lokomotywy, która pędzi przed się w ślepym obłę-

dzie, niszcząc, miażdżąc wszystko po drodze, bo niema ani kierownika, ani hamulca.

Ten obraz, w którym tak często Bieleckiego widziała, zastanawiał ją i trwożył — ile razy o nim myślała, ile razy w bezsennych nocach na niego patrzyła, zawsze widziała to światło dwóch latarni, które się z trudem przez mgłę przedzierało, słyszała piekielny łoskot rozpędzonych kół, a rozszalały pęd powietrza rzucał ją bezbronną na plant kolejowy.

Zastanawiała się, dlaczego właśnie ta wizja tak ją od jakiegoś czasu prześladowała — godziny całe trawiła na ciężkich rozmyślaniach, dlaczego jej dusza tak posowiała, znużona, i jakby ustawicznym przestrachem drżąca.

Przecież on ją kochał — o tem jednej chwili nie wątpiła — i ona całą rozpaczną miłością owinęła się wokół niego — czemu ani mu, ani jej to szczęścia nie dawało?

Nigdy jej tego nie powiedział, ale widziała, że gdyby go o to pytała — możeby odpowiedział, a może i nie: jak ci ja mam szczęście dać, kiedym go nigdy nie doznał?!

I znowu go ujrzała, gdyby jakiegoś Dżingis-Chana, który gnał przed się — niewiadomo dlaczego i ku czemu tylko z jednem pragnieniem niszczenia, tratowania — może nawet i mordu i pożogi, byleby tylko móc uśmierzyć rozszalały pożar w swojej duszy, nasycić wiecznie głodną, stugłową hydrę, żądny panowania, zwycięstw, zdobyczy...

Ninie w głowie się plątało.

Czegóż on chce? pytała — za czem on tak gna? Pocóż popełnia te bezcelowe zbrodnie?

Na nic odpowiedzieć sobie nie zdołała.

Dusza jej chorzała.

Już od miesiąca prawie, że nie wychodziła z domu — na ulicy ogarniał ją tak paniczny lęk, że czem prędzej do domu wracała — każde, najobojętniejsze spojrzenie przestrach w niej budziło — ustawicznie słyszała poza sobą drwiące uwagi i złośliwy śmiech, jakieś skradające się kroki czegoś złego i zawistnego, co już za chwilę zniienacka się na nią rzuci, by ją znieważyć i opluć — wszędzie naokoło siebie widziała ludzi gdyby czarny, zwarty mur, najeżony ostremi gwoździami, lękała się wtedy stąpnąć, by się przypadkowo nie potknąć i o te gwoździe nie poranić.

W domu się uspakajała. Początkowo dręczyła ją samotność, ale wiedziała, że to już niezadługo potrwa. Bielecki teraz olbrzymim rozmachem dźwignął się i postawił na nogi. Bielecki zwyciężył, zapanował nad złością i zawiścią — a teraz już niezadługo rozpocznie się ten czas, którego nie zdążyli do końca przeżyć, do samego dna wykosztować: to rozkoszne sam na sam, to spowicie się ich dusz w świętą Jednię.

Przez chwilę rozkwieciło się w niej: na pościeli białego śniegu rozłożyły się gałązki kwiecia migdałowego, naprzekór zabójczemu zimnu, rozkwitły drzewa pomarańczowe, a z jednej i drugiej strony stromej, lodem ściętej drogi, wybiegały w niebo olbrzymie cyprysy.

Nina wiedziała, że majaczy, ale bawiła się myślami — to była najpiękniejsza jej zabawka, żonglowała myślami, jak ręka Boga żongluje gwiazdami, tkała na ogromnej kanwie swych myśli kwieciste ogrody, by je znowu spowić i kosztowniejsze jeszcze dzierzgać.

Poza Bieleckim nikogo nie widziała, ani znać nie chciała, a gdy jego nie było, to już jej nawet obecność służącej przeszkadzała. Wysyłała ją pod

pierwszym lepszym pozorem, byleby tylko pozostać samą, z czego sprytna dziewczyna umiała tak skorzystać, że jej przeważnie całe popołudnie w domu nie było.

Czasami nachodziła Ninę ponura zaduma, zwykle o zmroku. I mimo, że wiedziała, iż gdy tylko światło zapłonie wszystkie mary pierzchną, lubiła się z jakiemś zaciętem okrucieństwem nad sobą pastwić.

Wywoływała wtedy przed swoje oczy utopioną Łusię — och! ileż ona się o niej nie nasłuchała od Reginy — wskrzeszała Adę — och! jakież to tajemnicze, a raniące ją wieści o stosunku Bieleckiego do demonicznej Ady nie były się już obiły o jej uszy — a wtedy buntowało się w niej gniewem, zranioną dumą, żalem, a wkońcu nienawiścią do Bieleckiego.

Dusza jej coraz więcej chorzała.

Niepojętą, bolesną, zaciekłą rozkosz sprawiało jej to wyszukiwanie w swej duszy najwięcej wrażliwych, najczulszych miejsc i wpychać w nie zatrute strzały, kazać im się rozjątrzać, a potem z całą nieokiełzaną pasją, nieprzytomnym szałem, własnemi rękoma je wyszarpywać, aż wreszcie chciała wywołać gangrenę, którąby całą jej krew zatruła.

Wtedy przerażała się swoim stanem, zapalała w wszystkich pokojach światło i jeszcze tego jej było zamało: rozniecała ogień na kominku, dorzucała doń bezustannie drew, by nie zgasł ani na chwilę i tego jeszcze jej było za mało: a nagle struchlała.

— Co się ze mną dzieje?

Wtedy wyciągała się na dywanie przed kominkiem, patrzyła bezustannie w ogień, pozwalała się hypnotyzować płomieniom i usypiała.

Ah! co za święta noc nieprzebranego szczęścia, gdy Bielecki raz ją późną nocą zastał tak śpiącą na

dywanie przed kominkiem, z przerażeniem pochwycił na ręce i jak chore dziecko zaniósł i ułożył na posłaniu.

Czegóż on był wtedy taki blady? Czego się lękał?! A! a! on się ognia lęka — on nie może patrzeć na ogień — ogień go przeraża — na widok ognia twarz jego zielenieje, drży cały, on — on! stworzony na mściciela ognia...

— Już ja wiem, czego się ty tak ognia lękasz...

Słodka Regina dała mi do przeczytania artykuły, pisane w gazetach po tragicznej śmierci Ady i Poraja — tam tak delikatnie whaftowana była aluzja do mściwej Heimarmeny — a Borsuk podobno obłędu dostał... Ha, ha, ha.. żal mu obrazków? Czyżby już nowych namalować nie zdołał!

Śmiała się wtedy pogardliwie i drwiąco śmiechem Bieleckiego i była zdumiona, że się tak śmiać może, bo przecież tego śmiechu w sobie wcale nie miała: był jej obcy i wstrętny...

A! a! już się zaraziłaś — ach! jaka pojętna uczennica z ciebie! Niezadługo, a to błoto, w którem się tarzał Bielecki z Łusią i Adą i Bóg wie jeszcze z kim, wyda ci się czyściutką cysterną — całkiem taką samą, jaką Cranach namalował: z jednej strony wchodzi obrzydła cnota, a na drugim brzegu wyłania się z niej młodziutki, świeżutki, uroczy nierząd...

Ha, ha, ha! śmiała się wtedy Nina i milkła, bo czuła, że to czyjś obcy śmiech, który ją przerażał, jak wołanie puszczyka.

Dusza jej chorzała coraz więcej.

Nina siedziała teraz przy łóżku, na które powykładała suknie i myślała — którą dziś w tym uroczystym i dla Bieleckiego triumfalnym dniu ma się ubrać.

— Nie chcę twej woli gwałcić Nino, ale dziś mi rzeczywiście na tem zależy, byś była w teatrze.

— Dobrze, o ile mi dasz takie miejsce, gdzie już nikt na mnie uwagi nie zwróci.

— Bądź spokojna, przyrzecz mi tylko, że przyjdziesz.

— Przyrzekam!

Nina zaśmiała się cicho: co jemu tak na tem zależy? Przecież ja nie pokochałam ani autora, ani dyrektora teatru, ani tego, który Bóg wie z jakich powodów z całą sforą psów się ugania, ale jego, jego samego — jego jedynego — ale jeżeli już tak gwałtownie pragnie, bym była świadkiem jego triumfu, cóż mnie to obchodzi? to pójdę...

Już ostatnią suknię wyłożyła i jeszcze nie była zdecydowana, którą dziś włoży, gdy nagle posłyszała gwałtowne dzwonienie.

Przelękła się dzwonka.

Któżby o tej porze mógł dzwonić? I to tak gwałtownie. Zadrżała przeczuciem jakiegoś nieszczęścia.

Czyżby jemu coś złego stać się miało?

Wybiegła do przedpokoju: służącej nie było, więc sama otworzyła drzwi.

Nina ujrzała przed sobą jakąś wytwornie wystrojoną damę, która impertynencko oglądała ją przez lorgnon, wiszące na złotym łańcuchu.

— Przepraszam panią, że mimowoli tak gwałtownie zadzwoniłam, ale przychodzę w ważnym i pilnym interesie do pana Bieleckiego...

— Proszę panią — Nina zaprowadziła ją do pracowni Bieleckiego.

— Niech pani zechce usiąść — usiadły naprzeciw siebie.

— Moje nazwisko: Tańska.

Nina była ucieszona — przyjaciel, od którego Bielecki dostał pieniądze na „Romowe", też się nazywał Tański.

— Pani krewną, a może żoną słynnego zagranicą tenora Tańskiego?

— Tak, pani — pani Leontyna przyglądała się Ninie tak bezczelnie, że Nina była zupełnie zmieszana.

— O ile wiem, to mąż pani żyje w przyjaznych bardzo stosunkach z Henrykiem.

Leni Leontyna spojrzała na nią z udanem zdumieniem i uśmiechnęła się złośliwie.

— Ależ pani musi się mylić: pan Bielecki nie zna wcale mego męża, nigdy go nie widział, tylko mnie łączy z panem Bieleckim ścisła przyjaźń.

Pani Leontyna pochłaniała Ninę złym, nienawistnym wzrokiem. Spodziewała się zastać jakąś zbiedzoną, zniszczoną kobietę, którą Bielecki z litości trzyma, coś w rodzaju biednej, suchotniczej męczennicy, a widziała przed sobą drobną wprawdzie, ale kwitnącą i niezwykłego wdzięku kobietę, której każdy ruch zdradzał grację i ułożenie nie byle jakiego pochodzenia. Drobna twarz, o niezwykle delikatnej cerze i pięknych rysach, okalało bogactwo przepysznych włosów, jakich pani Leontyna jeszcze nie widziała, o zdumiewającym połysku starego, czerwonego złota. Zobaczyła prześliczne, małe ręce, drobną i kształtną stopę, która się z pod ciemnej sukni wysuwała i spojrzała w pełne blasku i niezwykłej inteligencji oczy.

Zawrzała w niej bezpamiętna, zaciekła zazdrość.

Czuła, że ponsowieje, że najchętniejby się chciała teraz na Ninę rzucić i w kawałki ją poszarpać.

— Jakto? — zapytała Nina z lękliwem przeczuciem czegoś niespodziewanego.

— Może być, że są jacyś inni Tańscy, ale męża mego pan Bielecki nie zna.

Pani Leontyna opanowała się, tylko w coraz większą złość wprawiała ją piękność Niny. Wprost już patrzeć na nią nie mogła — oczy jej błądziły po ścianach — nad biurkiem Bieleckiego wisiał bardzo oryginalny portret Niny — w całem urządzeniu, w każdym drobiazgu widziała staranną rękę kobiecą: jej rękę! na biurku znowu duża fotografja Niny. Tu ona panią! pomyślała z dyszącą nienawiścią i teraz odrzuciła wszystkie światowe towarzyskie względy, stała się ordynarną samicą, która rywalkę chce śmiertelnie ranić.

Nina była przerażona tem złowrogiem milczeniem, króre nagle zaległo w pokoju — jakaś nieznośna parność zawisła w powietrzu, coś zabójczego zdawało się w niej czyhać — czuła wyraźnie jakąś pięść, która się do miażdżącego razu zamierza.

— Pani mówiła — Nina chciała przerwać milczenie — że panią sprowadza pilny interes?

— Już załatwiony! — syknęła pani Leontyna.

Nina wstała i odruchowo cofała się pod wściekłością ziejącemi oczyma pani Leontyny.

— Mąż mój — Bielecki usilnie prosił Ninę, by go wobec ludzi inaczej nie nazywała...

— Ha, ha, ha — roześmiała się pani Leontyna już brutalnie — odkąd to pan Bielecki jest żonaty? A może ja się pomyliłam, tak, jak pani się co do Tańskiego pomyliła? Może ja zaszłam do całkiem innego Bieleckiego, takiego, który jest żonaty, bo ten, którego szukam, jest dyrektorem teatru i wydawcą „Romowe" i, jak z własnych jego

ust słyszałam kilkakrotnie, ani żony, ani kochanki żadnej nie utrzymuje.

Ninie w oczach pociemniało, chwyciła się kurczowo poręczy fotelu, by nie paść i patrzyła błędnie na panią Tańską.

I pani Leontyna wstała:

— Tu zdaje się zaszło komiczne „qui pro quo” — pastwiła się z niechlujnym cynizmem nad Niną — ten przyjaciel najbliższy słodkiego Henia, który mu dał pieniądze na „Romowe” i na kaucję, by mógł zostać dyrektorem teatru — jestem ja we własnej osobie — pani zaś może być co najwyżej jego utrzymanką — za moje pieniądze!

Nina zerwała się nagle — drobna jej postać nabrała nagle jakiejś niezwykłej powagi, dumy i majestatu:

— Precz! — zawołała.

Pani Leontyna przyłożyła lorgnon do oczu:

— No! no! za moje pieniądze całkiem przyzwoicie ubrana, za moje pieniądze całkiem dostatnio żyje i mieszka i jeszcze mnie z domu swego kochanka wyrzuca — w ten sposób jego dług wdzięczności spłaca — kwituję z przyjemnością i żegnam panią — aha! o mało co nie zapomniałam: panią Ligęzinę.

Pani Tańska wyszła z trudem hamowaną wściekłością

Nina jasno jeszcze sobie z całego tego zajścia sprawy nie zdawała, całkiem, jak człowiek śmiertelnie raniony i w pierwszej chwili bólu nie czuje.

Wiedziała tylko, że coś strasznego się stało, że posadzka pod nią faluje i leci w próżnię — przecierała oczy, bo zdawało jej się, że przeżyła ciężki sen, tarła czoło, jakby chciała w lęku zdrętwiałe myśli do życia pobudzić.

Przeszła przez pokój, ale nogi się pod nią chwiały, zataczała się, a wreszcie padła ciężko na otomanę.

Długą chwilę patrzyła bezmyślnie przed się. Wszystkiemi siłami usiłowała coś pomyśleć, ale napróżno — tylko w sercu, w mózgu, w każdym strzępku swych nerwów czuła tępy, głuchy ból, ale przyczyny jego uświadomić sobie nie mogła.

Rozejrzała się po pokoju, jakby się nagle w obcem miejscu znalazła. Właściwie było jej to wszystko znajomem, a równocześnie całkiem obcem, a im dłużej na te meble, te obrazy, te dywany patrzyła, przenikał ją coraz dotkliwszy ból sromu i wstydu.

Przecież to wszystko pieniędzmi pani Tańskiej utrzymane... spojrzała na swój miękki, biały szlafroczek, który jej Bielecki sam przed paru dniami kupił i do domu przysłać kazał; zdjął ją taki wstyd i obrzydzenie, że ocknęła się.

Pobiegła do sypialni, nie zdejmowała, ale zdzierała ze siebie ten ohydny, obrzydły szlafrok, kupiony za pieniądze pani Tańskiej — zerwała z siebie łańcuszek złoty, kunsztownej roboty, który jej Bielecki przed tygodniem na imieniny w podarunku przyniósł, rzuciła go ze wstrętem i pogardą na ziemię, wpół obłąkana z bólu, tak strasznego, że już nim przestał być, bo już przekroczyła próg, na którym jeszcze ból jako taki się odczuwa i zwaliła się w głuchą, ponurą ciemnię, którą rzadko jakaś myśl rozwidnia, a rzadziej jeszcze jakieś uczucie rozświeci.

Pustka! Przeraźliwa cisza przedstworzenia, kiedy jeszcze nic nie było, a żaden Bóg nad przepaściami się nie unosił.

Siadła bezwiednie na łóżku.

Zwiesiła ciężko swą złotą głowę na piersi, ponieważ jej głowa ciążyła, gdyby centnary ołowiu: ujęła ją oburącz w dłonie.

Zwolna krew zaczęła nabiegać do mózgu.

Uprzytomniła sobie, gdzie jest.

Na łóżku siedzi — tem samym, w którem w jego ramionach usypiała; z wstydem palącym, źrącym wstydem wstała z łóżka, ona, która co najwyżej mogła być metresą jego, której się przed jakąś panią Tańską wypierał, bo pani Tańska dawała na wszystko pieniądze...

Żaden przyjaciel nie istniał, tylko ta... ta zła... ta — uśmiechnęła się błędnie — cóż jej można za złe brać, że się upomina o swego Henia, którego sobie kupiła za grube pieniądze?!

Stała teraz tylko w spódniczce i gorsecie i oglądała się uważnie, czy nie zostało przypadkowo coś na niej, coby mogło być kupione za pieniądze pani Tańskiej.

Teraz już nic!

Wyjęła machinalnie z szafy suknię podróżną, w której z Bieleckim na dworcu się spotkała, gdy wyjeżdżała z nim do Bozen, ubrała się zwolna i z długim zachodem, bo ramiona jej, jakby do niej nie należały, bezustannie opadały bezwładne — a, gdy w ciężkim trudzie przebrać się zdołała, szukała, gdzieby spocząć chwilkę mogła.

W niszy dużego okna stał jej kuferek, przykryty jej kocem podróżnym, wreszcie tam spoczęła. Znowu ujęła swą złotą głowę w obydwie ręce i starała się myśleć, a raczej zmusiła zastygłe myśli, by się wreszcie ocknęły z tego ciężkiego odrętwienia.

Gdzież on?! roztworzyła szeroko oczy, bo zdawało jej się, że przecież on tu musi być gdzieś wpobliżu... ale jego nie było i błyskawicą przeleciały jej przez mózg słowa Bieleckiego, które jej

powiedział onej nocy — ach! tej nocy: teraz wiedziała, że ten wieczór u pani Tańskiej spędził.

Ponoć od tej samej gwiazdy się oderwali — ona pobiegła w stronę światła, on gubi się w mrokach ciemności — gubią się i znowu odnajdują w nieprzebranej tęsknocie i bólu... ale teraz...

Jęknęła w ciężkiej, beznadziejnej rozpaczy:

Widziała go wyraźnie, gdyby spadającą gwiazdę, która zanikała i gasła w międzyplanetarnych mrocznych przestworzach.

I w tej chwili nie czuła żalu do niego — wiedziała tylko to jedno, że stąd pójść musi – gdzie? dokąd? to ją mało obchodziło — byleby tylko ten dom opuścić, który pani Tańska swojemi pieniędzmi utrzymuje... wstała i rozejrzała się znowu po sypialni.

I znowu skręcił jej serce wstyd i srom.

Przymknęła oczy.

A nagle, jakby się w jej duszy dokonał dziwny przełom, poczęła myśleć jasno i trzeźwo, a im dłużej myślała, a przynajmniej zdawało jej się, że myśli, tem większa jaśń przesycała zimnem, trzeźwem światłem mroki jej mózgu.

A więc opuści ten dom, w którym ją wszystko hańbiło, okłamywało: pozostać tu teraz dłużej byłoby ohydą.

Dokąd się uda? To już obojętne. Byleby tylko czem prędzej ten dom opuścić.

Ale, na Boga, przecież trochę pieniędzy potrzebuje.

Ta myśl ją zastanowiła.

Tak! bez pieniędzy mogę się udać co najwyżej na ulicę — a na ulicy... zatrzęsła się ze wstydu i obrzydzenia.

Przypomniało jej się nagle, że miała po matce brylantowe kolczyki i kosztowną bransoletę.

Toć to majątek! uśmiechnęła się błędnie.

Poszukała na dnie szufladki bransoletę i kolczyki, włożyła je do torebki i, nie oglądając się za siebie, wyszła chwiejnym krokiem na kurytarz, włożyła na siebie futerko: jej — jej, tego pani Tańska nie kupiła... a gdy już drzwi na wschody miała otworzyć, nagle siły ją opuściły, przycisnęła się do ściany i zapłakała nagłos, jak dziecko.

Ale żalu do niego nie miała.

Nad sobą samą płakała!

Nagle uprzytomniła sobie, że nie można mu w dzisiejszym dniu niespodzianką przeszkadzać, nie można jego triumfalnego wieczoru zakłócać tem, że byłby zmuszony na policję lecieć i kazać się dowiadywać, gdzie się podziała — więc wróciła, zaświeciła elektryczną lampę na biurku i drżącem pismem rzuciła kilka zdań na kartce papieru: „Dłużej w twoim domu pozostać nie mogę. Dlaczego? to sam wiedzieć musisz; resztę powie ci pani Tańska. Nie szukaj mnie, to napróżno. Poza tem nie mam do ciebie żalu. — Nina".

Położyła tę kartę na jak najwidoczniejszem miejscu, tak, że musiał ją w tej chwili ujrzeć — raz jeszcze obrzuciła jego pracownię oczyma, zgasiła światło, wymknęła się chyłkiem, jak złodziej, jakby się lękała, że ją ktoś zatrzyma w domu utrzymywanym przez panią Tańską, zeszła na dół i na ulicy rozglądała się, czy jaka dorożka lub automobil nie nadjeżdża.

W zapadającym zmroku ujrzała, jak jakiś mężczyzna do niej się zbliża.

Przystanęła, bo go odrazu poznała:

Ligęza!

Ligęza zbliżył się ku niej, oddychał szybko, jakby tchu złapać nie mógł.

Cofnęła się przestraszona:

— Czego pan sobie życzy?

— Nino! — Nino! — mówił zdyszanym głosem Ligęza — posłuchaj mnie — ja tu już całe popołudnie czekam, bo wiedziałem, że z domu wyjdziesz — posłuchaj mnie...

— Czego pan sobie życzy ode mnie?

Ligęza walczył z sobą, zmagał się w ciężkich zapasach, by równowagę utrzymać.

— Ten szatan — wybuchnął nagle — zrujnował mnie i ciebie — ciebie też — syknął zaciekle — widziałem, jak tu dziś jego kochanka, pani Tańska, pod dom swym automobilem zajeżdżała... O! nie myśl, żem tak ordynarny, by cię rozraniać — ty wiesz już o wszystkiem — tak, jak ja wiem, że mnie z tą aktorzycą zrajfurzył, aby ciebie ode mnie oderwać, sama była na tyle brutalnie uczciwą, że mi to powiedziała...

Nie patrz na mnie tak wystraszona! Ja jestem dziś doszczętnie zrujnowany i zniszczony człowiek, ale gdy ty zechcesz do mnie powrócić — od nowa całe życie rozpocznę — wszystko naprawię — w rok, dwa dźwignę się i — Nino — szeptał bezładnie — posłuchaj mnie: ja młody, silny, pracować umiem, przy tobie siły potroję, wszystko znowu do ładu doprowadzę — od nowa żyć zaczniemy...

Nina patrzyła na niego, jakby go nie rozumiała.

— Nino, słuchaj — szeptał — jeszcze czas, jeszcze siebie i ciebie z tej toni wyratować mogę — chodź, chodź ze mną, pojedziemy do mojej wsi, o wszystkiem zapomnimy, od świtu do nocy będę pracował, wszystko uratuję... — słowa jego piętrzyły się bezładnie, gdyby kry na rzece, kiedy lód puszcza.

Spojrzała na niego, ujrzała jak we śnie spustoszoną, postarzałą twarz Ligęzy, serce jej się

ścisnęło nad nędzą ludzką, ujrzała nadjeżdżający automobil, skinęła: automobil przystanął.

— Mnie ciebie bardzo żal — powiedziała cicho — ale teraz już za późno — bądź zdrów!

Podała mu rękę i szybko wskoczyła do automobilu.

— Na Marszałkowską!

Automobil ruszył — a za sobą słyszała głuchy krzyk:

— Nino!

Teraz już całkiem była spokojna.

Nic przed nią i nic poza nią!

Nic? zapytała.

Nic! wszystko co przeżyła z Bieleckim, wszystkie uniesienia, upojenia, nieprzeczuwane cuda miłości: to wszystko się rozpłynęło w jednem strasznem, pustem Nic!

Ale nie miała żalu do niego.

Tak być musiało.

Kazała przystanąć przed sklepem znanego jej jubilera, u którego przed paru dniami Bielecki kupował jej naszyjnik, i weszła całkiem już spokojna do składu.

Jubiler przywitał ją bardzo uprzejmie.

— Mam tu kosztowności, których nie noszę, więc chciałabym je sprzedać — podała bransoletę i kolczyki jubilerowi.

— Niech pani będzie łaskawa chwilę zaczekać — w tej chwili zbadam i ocenię wartość.

Badał, próbował przez długą chwilę, a wreszcie odrzekł:

— Mogę pani dać dwieście rubli — zgadza się pani?

— Dobrze.

Wypłacił jej dwie sturublówki — była na tyle przytomna, by jedną kazać zmienić na złoto

i srebro, bo przypomniało jej się, że szofera trzeba będzie zapłacić — pożegnała jubilera i wsiadła znowu do automobilu.

— A teraz dokąd?

— Na dworzec.

Zapadła, jakby w jakiś letargiczny sen. Nie czuła już ani bólu, ani tęsknoty, ani żalu — przeciwnie: jakby się coś w niej rozanieliło, myślała o wszystkiem z dobrocią i łagodnem współczuciem.

Dziś Bieleckiego wielki triumf oczekuje — przeleciało jej przez głowę — nieładnie zrobiłam, że mu go niepokojem zakłócę — trzeba było do jutra zaczekać i uczuła żal do siebie za swoją porywczość.

Trudno; on nie mógł inaczej i ja inaczej nie mogę, westchnęła głęboko, ale żalu do niego nie czuła. Przeciwnie: tylko do siebie samej, że mu ten tak długo oczekiwany, ten upragniony dzień ostatecznego triumfu swojem nagłem zniknięciem zakłóci.

Wierzyła w jego miłość — tej jednej jej nie kłamał, to wiedziała, a jego zdrada i... trudno! inaczej nie mógłby zwyciężyć.

Nie, nie! żadnego żalu do niego nie miała — pragnęła tylko jego oczy raz jeszcze zobaczyć — te dwie ogromne latarnie pijanej, wściekłej lokomotywy, która pędzi przed się i wszystko miażdży po drodze, bo niema kierownika ani hamulców.

Automobil zajechał przed dworzec, wysiadła, zapłaciła i poszła do poczekalni.

Uśmiechnęła się błędnie:

Raz jeszcze popatrzy w te olbrzymie oczy rozszalałej, pijanej, wszystko druzgocącej lo-

komotywy, a potem czas pomyśleć, gdzie i dokąd?

Duszno było jej w poczekalni, więc wyszła na peron, by raz jeszcze w jego oczy spojrzeć — jego... który może się jej teraz przed jaką panią Tańską wypiera — a jeżeli to robi, to pewno musi to robić i wcale go nie winiła i żalu żadnego do niego nie miała.

Peron był prawie pusty — a na samym końcu jego siedziała potulnie na tobołkach swoich jakaś chłopka z trojgiem drobnych dzieci, które płakały, bo były widocznie głodne.

Wielka jest nędza ludzka, pomyślała Nina, podeszła do biednej, pokornej kobieciny i wsunęła jej złotą dwudziestorublówkę do ręki.

Kobieta prawie z przerażeniem spojrzała na złoto.

— Wielmożna pani się omyliła!

— Ja się nigdy nie mylę, ani też do nikogo żalu nie mam — uśmiechnęła się błędnie Nina i poszła dalej.

Opadała coraz gęstsza mgła.

Wyszła poza dworzec, szła wzdłuż toru kolejowego chwiejnie, potykając się co chwila o relsy i progi.

Szła, szła przed się, błądziła między szynami, bo strażnicy nie mogli w tej mgle rozpoznać, czy to nie ktoś ze służby — i nagle przystanęła w zachwycie:

Na skręcie ujrzała światła, przymglone jeszcze, dwóch latarni, słyszała ciężkie dudnienie woddali, coraz bliżej i coraz więcej zbliżały się światła dwojga potężnych oczu, które nietylko mgłę, ale najgęstsze ciemności i mroki rozerwać zdołały — Nina nieprzytomna biegła naprzeciw:

Teraz już wiedziała, dlaczego tu się zabłąkała. — Wiedziała, że go spotkać musi — jego, który się w mrokach gubił i znowu do niej przedzierał — i znowu go odnajdywała. — Tak! tak! jemu naprzeciw tu wybiegła — całym pędem rzuciła mu się na spotkanie.

Jedzie, pędzi, szuka mnie! Poprzez mroki, poprzez mgły przedziera się ku mnie — On — On! Jedyny mój! A mówił mi, że się odnajdziemy!

Jedną jeszcze chwilę obłąkanego szczęścia w jego objęciu.

Bliżej, coraz bliżej:

Już — już! O rozkosz! o szczęście!

XVII.

Teatr był przepełniony. By jeszcze jedno miejsce dostać, trzeba było handlarzom biletami bajońskie sumy płacić.

Jedno miejsce tylko było puste — to właśnie, które Bielecki dla Niny wybrał — nie zwracające niczyjej uwagi, według jej życzenia, a z którego równocześnie całą scenę wygodnie objąć mogła.

Na inauguracyjne przedstawienie wybrał Bielecki „Irydiona“ Krasińskiego.

Było to zadanie nad wszelką miarę trudne — ale Bielecki zdołał się z niem uporać.

Od miesiąca pracował dniem i nocą — każdemu aktorowi zosobna tłumaczył godzinami całemi jego rolę i jej znaczenie, po kilkadziesiąt razy kazał powtarzać jeden i ten sam frazes, z umiejętną plastyką przedstawiał myśli przewodnie — epokę, na której tle on dramat powstał — znajomością dokładną historji rozkładającego się Rzymu, którą

doszczętnie przestudjował, zaimponował aktorom, nawet najniechętniejszych rozgrzał, zachęcał, smagał poprostu w gorliwy entuzjazm.

Wszystko do góry nogami w teatrze poprzewracał. Syci sławy i swej wielkości starzy aktorzy zostali usunięci na drugi plan — pomiędzy tymi, którzy się trzeciorzędnemi rolami dotychczas zadawalniać musieli, odnalazł trzy, cztery niezwykłe talenty.

Z niezawodną znajomością duszy aktora i tego, co zrobić jest w stanie, dobierał sobie idealny wprost zespół.

— Pan mi zagra Heliogabala — powiedział do młodego artysty — i — rozumie pan — pan go tak zagra, że odrazu pan się wybije na pierwszorzędne stanowisko.

Młody, piękny, trochę zniewieściały chłopak, ale o istotnym talencie, zbladł, miał odruch, jakby się chciał Bieleckiemu do nóg rzucić — oczy zamgliły mu się łzami szczęścia.

— Tu masz pan specjalny traktacik o Heliogabalu — to sobie pan uważnie przeczytaj, a potem zabierz się pan do roboty. I jedno panu powiadam: nie grać, tylko trzeba być Heliogabalem, jeżeli pan za trzy dni się nim nie stanie, odbiorę panu rolę.

Po długich wahaniach znalazł Irydiona również w młodym aktorze, który dotychczas podrzędnemi rolami zadawalniać się musiał, a którego zdołał istotnie przetworzyć na Irydiona. Siłą potężnej swojej sugestji tak długo nad nim pracował, dopóki nie rozbudził i do gorącego życia nie powołał ostatniego bohatera Hellady.

Nastka jako Cornelia była idealną — Nastce jednego słowa nie było potrzeba mówić — intuicją genjalnej artystki wniknęła w najtajniejsze intencje

wielkiego wieszcza — tu już Bielecki nie miał nic do powiedzenia — podziwiał tylko.

Za to ogromny zasób pracy zużył przy wystudjowaniu roli Elsinoe z młodą, wysoce utalentowaną aktorką.

Tu już pogwałcił jej własną duszę: rozkazał jej być — Niną. Z głęboką ścisłością, nieskończoną cierpliwością urabiał tak długo duszę artystki, aż ją wreszcie zdołał odmienić i Ninę - Elsinoe w niej do życia powołać.

Bielecki umiał natchnąć aktorów, rozpalić ich tak, że wszystkie siły wytężali, by doróść do ról im przeznaczonych.

Obraz sceniczny stworzony był najprostszemi środkami, ale tak sugestywny, że cały olbrzymi aparat sceny byłby tylko psuł wrażenie niepokalanie czystych linij dramatu.

To też, gdy zapadła zasłona po pierwszym akcie, publiczność była jak oczarowana. Chwilę trwało jakieś ogłupiałe, nieme wrażenie, a nagle zerwała się frenetyczna burza oklasków.

— Bielecki! Bielecki!

Takiego widowiska nikt nawet z najstarszych bywalców teatralnych jeszcze nie widział.

— Bielecki! — krzyczała, wrzeszczała publiczność, do głębi poruszona i serdeczną wdzięcznością przejęta...

Bielecki wyszedł z aktorami na scenę, skłonił się w stronę aktorów i publiczności i z ciężkim niepokojem ujrzał, że miejsce, które dla Niny przeznaczył, było puste.

Co się stało? Serce mu się zatrzęsło, cały zadygotał.

Po kilka razy kurtyna się podnosiła, raz jeszcze pokazał się na scenie, a potem z gorączko-

wym niepokojem posłał woźnego do Niny — dał mu nawet na automobil, by czem prędzej mógł się dowiedzieć, co się stało.

W niespełna kwadrans powrócił woźny z dziwną wieścią:

Mieszkanie było zamknięte, w oknach ciemno, a stróż powiedział, że widział panią, jak przed trzema godzinami wychodziła z domu, na ulicy rozmawiała z jakimś panem, a potem wsiadła sama do automobilu i gdzieś pojechała.

Bielecki zatrząsł się jakiemś złowrogiem przeczuciem. Nie zważał na rozentuzjazmowaną publiczność, która go przed rampę wywoływała, wybiegł z teatru — wpadł do automobilu i popędził ku domowi.

Pozapalał światła elektryczne w jednym, drugim i trzecim pokoju: Niny nie było!

W sypialni ujrzał porozkładane suknie — na podłodze zmięty szlafrok biały, który jej przed paru dniami kupił, a porozrywane ogniwa naszyjnika świeciły bezładnie na dywanie...

Cóż to? wrzasnęło w nim w dzikim lęku.

Była chwila, w której całkiem przytomność utracił.

Zaglądał po wszystkich kątach, błądził i szukał po całem mieszkaniu, aż nagle ujrzał na swojem biurku dużą kartę białego papieru, na którym widniało parę zdań, napisanych ręką Niny.

Czytał raz, drugi i trzeci, ale litery zaczęły wyskakiwać z papieru, chwyciły się za ręce i w tęczowym wirze kołowały przed jego oczyma.

Siadł chwilę i znowu zbliżył kartę do oczu, na której tylko charakterystyczną ręką Niny pismo zdołał rozpoznać.

Ale w tem ujrzał tylko tysiącznobarwną tęczę, wirującą w szalonym pędzie przed swemi oczyma.

Trzeba poczekać, pomyślał — trzeba się dowiedzieć, co tu stoi.

Chwila głuchego milczenia w sobie samym, zupełnego odrętwienia.

Teraz! szepnął.

„Dłużej w twoim domu pozostać nie mogę“!

Co — co — co? zatoczył się jak w pijanym transie — podszedł do elektrycznej lampy, która na biurku stała — wszystkiego nie był w stanie przeczytać, bo, jakby nagle oślepł — parę wyrazów tylko wpakowało mu się w mózg, gdyby ordynarne hufnale w kopyto końskie: „ — pani Tańska ci powie — i...“

A! a! zacharczał.

W takiem przerażeniu jeszcze żadna ofiara nie kryła się przed zabójczemi razami, jak on... w głowie mu się mieszało, z dna duszy wydobywały się niszczące, trujące gazy — schował się w jeden kąt — potem wbiegł do drugiego pokoju: zgasił szybko za sobą światło, i tu się nie czuł bezpiecznym; zakradł się z tysiącem ostrożności i podstępów do sypialni: padł na łóżko Niny, zerwał kołdrę, wtulił, wgrzebał się twarzą w poduszki, przesycone Niną, głaskał je i całował, bo zdawało mu się, że ma w rękach bogate, jedwabiste pasma jej złotych włosów, szarpał je i gryzł, bo tych włosów nie było — ryknął przeraźliwie nie płaczem, bo na to, co teraz czuł, płaczu nie było — i nagle oprzytomniał.

Znowu zapalił światło i, potykając się o meble, taczał się, jak pijany z jednego pokoju do drugiego.

Zmiarkował nagle, że coś w ręku trzyma.

Aha! papier — list pożegnalny Niny.

Wytężył całą uwagę, by zrozumieć, co tam stało:

— „Nie szukaj mnie, bo napróżno... pani Tańska ci powie...“

Wściekły odruch nienawiści oprzytomnił go. Straszliwy paroksyzm bólu minął, a w mózgu jego rozelśniła się gładka, szeroka tafla lodu.

Aha! pani Tańska... Była tu, wszystko Ninie powiedziała...

Zerwał się, zdawało mu się, że krew mu z oczu tryśnie.

— Pomszczę się! — zaciął zęby i czuł, że teraz w żaden sposób nie mógłby ich otworzyć.

— Pomszczę się! — powtarzał manjacko i zostawił drzwi mieszkania naoścież otwarte.

Czemu to robił — nie wiedział — czuł tylko, że się dziwne rzeczy w nim dokonywają.

Gdy wyszedł na ulicę, zapomniał, że poprzysiągł krwawą zemstę jakiejś pani Tańskiej, natomiast ogarnęło go jasne przeświadczenie, że musi spełnić coś, jakiś wielki, piękny czyn — tak! czyn, godzien czystej, niepokalanej duszy Niny: czyn, którymby mógł doróść do jej wielkiej, niepojętej, tajemnej piękności.

Szedł przed się, jak odurzony, nogi go mechanicznie niosły i znowu znalazł się w przedsionku teatru.

Jasno stało się w nim nagle — słyszał, jak woźny do niego mówił:

— Jaśnie panie, już od godziny szukam jaśnie pana — urwał, przeraził się.

— Jaśnie panie, co panu jest?

Czego chcesz? — Bielecki spojrzał na niego i całkiem oprzytomniał — uśmiechnął się łagodnie,

bo przypomniał sobie, że dziś jeszcze ma spełnić wielki i święty czyn, godny Boga — Niny.

— Jaśnie panie — szeptał natarczywie woźny, wydawało mu się, że teraz ma nietylko prawo, ale i obowiązek zaopiekować się panem dyrektorem, który na całkiem trzeźwego nie wyglądał.

— Za kwadrans spektakl się kończy — jaśnie pan będzie musiał koniecznie się na scenie ukazać, bo publiczność wprost warjuje.

Opiekuńcza gorliwość woźnego wzruszyła Bieleckiego: dał mu sztukę złota, za którą woźny żarliwie go w rękę pocałował, a zimne, niezłomne postanowienie, że dziś już wielkiego czynu, godnego Niny dokona, zrobiło go wielkim i istotnie mocnym człowiekiem.

Gdy kurtyna po ostatnim akcie zapadła, ogarnął całą publiczność nieopisany zachwyt i szczery entuzjazm.

Przedstawienie to nie miało dotychczas w Polsce czegoś, w przybliżeniu choćby, równego.

Zapomniano o aktorach, którzy może nigdy tak nie grali, jak właśnie w tym dniu — ponad wszystkiem zapanował niepodzielnie: Bielecki reżyser — dusza teatru.

Wywoływano go bez końca, posypał się deszcz kwiatów na scenę — a on się kłaniał jakby lunatycznym snem spowity, ściskał mechanicznie dłonie aktorów i aktorek, a gdy wreszcie znalazł się w swojem biurze — tak — tak: to się nazywało biurem dyrektora, a niema żadnej wątpliwości, że on był istotnie dyrektorem teatru — odetchnął głęboko.

Zwyciężyłem, pomyślał — warto było dla takiego zwycięstwa cały szereg niepotrzebnych zbrodni spełnić?! i Łusię uśmiercać i — i... głupstwo!

pocóż miał po tysiączny raz wyliczać te małe głupstewka, które popełniał, by wreszcie osiągnąć to marne zwycięstwo, które zdołało mu zaledwie maluteńką dać satysfakcję.

O innem zwycięstwie marzył teraz — do całkiem innego prowadziła go Nina-Samotrake: pokusi się teraz o wawrzyny takiego zwycięstwa, jakiego żaden z zwycięzców nie odniósł!

Ten czyn, który dzisiaj spełni, wystawi go na czoło wszystkich tych, którzy dotychczas istnieli i którzy dopiero się rodzą, lub porodzić się mają — i gdziekolwiekby Nina się znajdowała, do niej też wieść o jego czynie dotrzeć musi i dotrze: tego był pewien.

Ktoś zapukał dyskretnie do drzwi.

Wstał i otworzył uprzejmie.

— Całe towarzystwo zebrane już w foyer, oczekuje pana dyrektora. Stół już zastawiony — mówił inspicjent.

— W tej chwili przyjdę.

Obejrzał się starannie w lustrze, zawołał woźnego, by wyszczotkował mu frak, zakurzony pyłem zakulisowym i wszedł do foyer, gdzie go tak zwana śmietanka inteligencji i świata artystycznego gromkiemi oklaskami powitała.

Bielecki się kłaniał machinalnie na wszystkie strony, ściskał serdecznie wyciągnięte ku niemu wdzięczne dłonie, a nagle ujrzał w kącie foyer — Borsuka.

Zahaczyły się ich oczy — Bielecki bezwiednie prawie zwrócił się w jego stronę, jakby wędkę połknął i teraz już koniecznie u stóp jego, na ląd wyłowiony, legnąć musi.

— Nie masz wyobrażenia, jak się cieszę, że cię tu dzisiaj widzę — mówił Bielecki.

— Ja tu się przypadkowo tylko znalazłem — całkiem przypadkowo — mówił Borsuk z przebiegłością obłąkańca i odwracał niespokojnie latające oczy od wzroku Bieleckiego.

Nie zwrócono na to uwagi.

Wszyscy zasiedli przy stole — Bielecki obok prezesa komisji teatralnej. Czyn z Niny porodzony, majaczył bezprzestannie Bielecki, dziś jeszcze się dokona!

Jedzenia nie tknął, pił tylko, ale w miarę, im więcej pił, coraz staranniej i boleśniej trzeźwiał — a mimo to zdawał sobie dokładnie sprawę, że coś niezwykłego w nim się odbywało, że chwilami tracił świadomość tego, co się naokół działo, to znowu ją odzyskiwał, ale poprzez wszystkie te patalogiczne stany rozbrzmiewał jeden potężny, nakazujący akord: dziś spełnić się musi!

Bielecki był ciężko roztargniony — śmiał się, gdy nie było ku temu żadnej przyczyny, marszczył się na komplimenty — robił wogóle ku ogólnemu zdumieniu, wrażenie człowieka, nie całkiem przytomnego.

Ale stan jego tłumaczono przemęczeniem — przepracowaniem, roztargnienie jego budziło raczej współczucie i głęboką wdzięczność, a nikogo nie raziło.

Przy pierwszym kieliszku szampana podniósł się z miejsca prezes komisji teatralnej i w uroczystem przemówieniu podnosił ogromne zasługi Bieleckiego, nietylko jako redaktora i wydawcy „Romowe", które to pismo sławę i chlubę nazwiska polskiego rozniosło po całym świecie, ale i genjalnego reżysera i dyrektora, który dziś już w całej pełni okazał, czem już w najbliższej przyszłości teatr polski się stanie — porównywał wystawienie „Irydjona" z najwięcej świetnemi przedstawieniami

Stanisławskiego w Moskwie i Reinhardta w Berlinie, które on sam widział, a które nawet porównać się nie dadzą z tem, jakie dziś dał Bielecki.

Teraz nadeszła chwila wielkiego czynu, myślał Bielecki.

Gdy prezes ukończył swoją gorącą, entuzjastyczną przemowę, dźwignął się Bielecki ciężko z swego krzesła.

Zrobiła się wielka cisza.

Jakby makiem zasiał.

Bielecki ważył się jeszcze w sobie, a nagle mocny — zwycięski wybuchnął:

— Szanowne Panie i Panowie!

Odetchnął głęboko — jeszcze się chwilę zawahał, ale Nina wołała: mów, mów wszystko! i już na nic nie zważał.

— Powołaliście mnie na stanowisko, któremu — aż nadto po pierwszej próbie jestem tego świadom — podołać mogę.

— Brawo! Brawo!

Czego oni tak wrzeszczą, jeżeli nie wiedzą, co za chwilę posłyszą? pomyślał Bielecki zdziwiony.

— Ale dokładnie nie znacie człowieka, którego oklaskami darzycie, którego dzisiejszą ucztą fetujecie — umyślnie użył banalnego wyrażenia: fetowanie — a któremu poza umiejętną bezsprzecznie reżyserją, całkiem niezasłużone honory oddajecie.

Nie posądzano Bieleckiego aż o taką skromność, a raczej spryt, więc rozległ się chóralny śmiech:

— Brawo! brawo!

Bielecki rozejrzał się spokojnie, sennie po zgromadzeniu i ciągnął rzecz dalej w ten sposób:

— Społeczeństwo polskie ma obowiązek kontrolować czyny tego, którego wysuwa na jeden z najważniejszych posterunków, a w tym wypadku mój posterunek...

Urwał i zamyślił się.

Ogólnie zauważono, że Bielecki jest bardzo zręczny w swojej mowie, nie wiedziano tylko jeszcze, dokąd zdąża.

— Rozmaite pogłoski, podziemne szmery, detektywne działania pana Hedery - Surzyckiego — syntezy, którą ja ochrzciłem zbiorową nazwą Uhery — mają istotną i rzeczywistą podstawę.

Całe zgromadzenie wybuchnęło znowu śmiechem, bo Bielecki tak bajecznie ironizował legendy, które o nim krążyły.

— Przedewszystkiem — mówił Bielecki jak w lunatycznym śnie — muszę się przyznać, że dwa dramaty, które pod swojem nazwiskiem wystawiłem, całkiem nie wyszły z pod mego pióra, bo ja tworzyć nie mogę — są one własnością św. p. Górskiego, którego nazwisko nieraz już o wasze uszy się obiło, a którego ja rozmyślnie do samobójstwa pchnąłem.

Zrobiła się wielka cisza, tylko ktoś na cały głos się roześmiał: tak kapitalnym wydał mu się dowcip Bieleckiego.

— Ponieważ jednak — Bielecki mówił znużonym, poważnym głoszem, który wykluczał wszelaką możliwość dowcipu i ironji — w chwili, gdy przywłaszczałem sobie dwa dramaty Górskiego, znalazł się w jego mieszkaniu świadek: ówczesna moja kochanka Łucja Szumska, więc musiałem się tego niewygodnego świadka pozbyć, a uczyniłem to w ten sposób, że barką, którą jechałem z św. p. Łucją w golfie Spezii, umyślnie najechałem na motor wojskowy i po krótkiej walce Łucję zato-

piłem, sam się, dzięki umiejętności wytrwałego pływania, wyratowałem.

Bielecki spojrzał z uroczystym triumfem wokół siebie — teraz już śmiać się przestano — wszystkie twarze popielały i kamieniały.

— Wiedząc atoli, że jakaś część manuskryptów Górskiego, któreby mnie zdradzić mogły, jest w posiadaniu Łucji, wywiozłem ją, a rzeczy jej wraz z onemi manuskryptami złożyłem w atelier, które dla pana Borsuka wynająłem: umyślnie w domu, położonym nad szopą siana.

Chcąc zniszczyć te ślady literackiej czynności Górskiego i społeczeństwo zarazem w błąd wprowadzić, że tam jakiś trzeci i czwarty dramat przeze mnie napisany — również w onem miejscu był złożony, poleciłem Adzie Karskiej, której pamięć jeszcze pewno nie spłowiała — szopę z sianem podpalić i tym sposobem zniszczyłem cały długoletni dorobek tak wielkiego artysty, jakim jest Borsuk. I z tego najhaniebniejszego grzechu, z tej najcięższej zbrodni przed wami się, szanowne panie i panowie, uczciwie spowiadam.

Chwytał powietrze, gdyby karp na ląd wyrzucony i znowu obejrzał się po zgromadzeniu z wielką, uroczystą powagą. Zdołał wreszcie spełnić czyn, godny tego, którego Nina ukochała, a nie czekając jego spełnienia, odeszła.

Widział, jak we śnie, jak Borsuk cichemi krokami do niego się zbliża — witał go przyjaźnie oczyma, jakby go po latach całych co dopiero ujrzał, widział, jak oczy Borsuka obłąkańczo latają, jak sięga do kieszeni i rewolwer z niej wyciąga i cała dusza zaśmiała mu się nieziemskim triumfem.

Zaległo tak straszne milczenie, że w tej głuchej pustynnej ciszy ludzie się pogubili — wszyst-

ko mu znikło z przed oczu — nic już nie widział — tylko czuł, że się ku niemu ktoś zbliża — może Borsuk, może kto inny — czuł zimno lufy rewolwerowej tuż obok swej skroni — ale nie drgnął nawet — posłyszał jakiś huk — grzmot — i wywrócił się nawznak.

Jeszcze rękoma załopotał w powietrzu: błogość śmierci opadła ciężko na jego powieki.

KONIEC.